32

Nr. 32 (1646). Warszawa, 10 sierpnia 1912 r. Rok XXXII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY SPOŁECZNY I LITERACKI

Redakcja i Administracja Włodzimierska 5 Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE

Inteligencja chłopska.

Prasa konserwatywna postawiła na porządku dziennym kwestję, posiadającą doniosłe znaczenie. Nazwano to sprawą „Obywatelstwa ludu wiejskiego" lub sprawą „Chłopskich synów". My pozwolimy ją sobie nazwać kwestją inteligencji chłopskiej.

Chodzi tu o podniesienie kulturalnego poziomu najliczniejszych mas ludności wiejskiej i o bezużyteczność dla tego celu owych chłopskich synów, którzy, osiągnąwszy wyższy stopień wykształcenia, już na rolę nie wracają. Są to — jak widzimy — dwie sprawy odrębne a niesłusznie ze sobą powiązane. Sztuczna kombinacja tych dwóch zagadnień prowadzi do takich pustych, deklamatorskich morałów, jakich nie szczędzi swym czytelnikom np. *Dziennik Poznański*. Domaga się on, by chłop „był dumnym ze swego stanu i mimo wyższego wykształcenia nie odrywał się od ziemi, na której się urodził, lecz został chłopem do końca życia". Jego zdaniem chłopscy synowie ukończywszy szkołę średnią i akademję rolniczą powinni następnie wracać do chaty ojców, być tam „apostołami zdrowego postępu i łącznikiem nierozerwalnym z innymi klasami".

Zupełnie słusznie zwrócono uwagę, że ogólny stan kulturalny wsi dziś jeszcze zbyt wiele poważnych przedstawia niedomagań, aby człowiek, który obok nauki przyswoił sobie wytworniejsze potrzeby i przyzwyczajenia, mógł się w danych warunkach czuć szczęśliwym. To jest tylko jedno *ale*, a jest ich więcej. Czy można spodziewać się, że zacznie być dumnym ze swego stanu chłop, jeśli ten chłopski stan w społeczeństwie szanowanym nie jest i jeśli mu się równocześnie nieustannie wmawia, że chłopstwo winno nawet w sprawach publicznych i narodowych ciągle iść na pasku swych naturalnych opiekunów, księży i panów a jedyną obywatelską cnotą, jakiej się od niego wymaga jest karność i bierność? Gdzie lud wiejski traktowany jest jako bydło wyborcze, tam o jego obywatelstwie mówić nie można. Gdzie każda próba samoistności i niezależnego krytycyzmu z jego strony piętnowana jest i tępiona jako bunt i zaprzaństwo, tam trudno się dziwić, że on nie jest ze swego stanu dumny, że go nie miłuje nadewszystko, lecz myśli, jakby się z niego wyrwać. Ale u nas tak: ci co świadomość klasowej odrębności witają okrzykami odrazy i trwogi, gdy ona im się przeciwstawia, w innym wypadku chcą samowiedzę stanową stwarzać, gdy im to potrzebne dla podtrzymania fikcji szczęścia, zamieszkującego niskie strzechy i apostołowania zasady poprzestawania na małym „Chłop powinien być dumny, że się chłopem urodził", znaczy w ich ustach to samo co: chłop powinien być szczęśliwy, że jest chłopem i do niczego innego nie rościć pretensji. Godzi się tylko postawić pytanie, czy chłop może dziś być ze swego stanu dumnym i szczęśliwym? Gdy na to pytanie będziemy mogli odpowiedzieć twierdząco, wówczas sprawa dezercji synów chłopskich z roli — przestanie istnieć.

Nie można jej rozwiązać ani nawet naprzód posunąć przez zapędzanie do wsi tych, którzy wyższe szkoły ukończyli i pasowanie ich na apostołów „zdrowego postępu". Nie byłoby to

ani użyteczne ani pożądane. Wiemy doskonale, że wychowańcy tych szkół, które u nas średnimi a w Galicji wyższymi nazywają, bynajmniej nie są w całej swej masie dostatecznie wykwalifikowani na pionierów jakiegokolwiek postępu, choćby nawet tak zwanego „zdrowego", to jest niepsującego krwi żadnemu konserwatyście. Sam fakt, że dany chłopiec urodził się pod chłopską strzechą jeszcze go bynajmniej w apostolskie natchnienie nie uzbraja. Może się to zdarzyć, ale może też wcale tak nie być. Pionierami demokratyzmu i postępu bywają dzieci różnych klas społecznych, ale bardzo rzadko zawdzięczają to dzisiejszej szkole, gdyż ta — jak wiemy — bywa naogół niezmiernie czujnie przed naporem postępowych prądów ochraniana, właśnie przez tych, co chcą, by chłop chłopem do końca życia pozostał.

Obawa przed zarażaniem młodzieży „niezdrowym" postępem jest jedną z pobudek przepełniania programów szkolnych przedmiotami martwymi, klasycznymi i suchymi, wykładanemi nawet „żywych" w ten sposób jakoby były martwe, to jest ile możności bez żadnego związku z życiem i aktualną rzeczywistością.

Czy można żądać, ażeby rodziny chłopskie rujnowały się na utrzymywanie synów w mieście dla kształcenia ich przez 10 lat w tych naukach, które na wsi żadnego nie znajdą zastosowania i to jedynie z tą myślą, by po tym okresie czasu znowu ich na roli osadzić? Prawda, uczą się tego wszystkiego synowie obszarników, najczęściej bardzo niechętnie i z małym skutkiem, ale zastosowania dla nabytych umiejętności nie szukają na roli, której zresztą nie uprawiają bezpośrednio lecz przez cudze ręce.

I od nich — choć się czują powołani na kierowników ludu — chłop niezbyt wiele nauczyć się może bez względu na to, czy złożyli maturę z odznaczeniem, czy też nocowali w każdej klasie po lat parę, jeżeli poprzestając na otrzymanej edukacji nie zdobywali wykształcenia przez samokształcenie, co i w klasie zamożnego ziemiaństwa dotychczas bynajmniej regułą nie jest.

Chłopi postępują logiczniej, gdy kształcąc syna w miejskim gimnazjum, mają na widoku dochowanie się w jego osobie księdza, lub w ostateczności jakiegoś adwokata lub doktora, szkoły te bowiem do dzisiejszego dnia stanowią raczej przygotowanie albo niezbędny etap do studjów specjalnych niż zakłady ogólno-kształcące. To zaś co w nich na program ogólnego wykształcenia się składa, mógłby każdy chłopski syn przyswoić sobie znacznie mniejszym nakładem pieniędzy i czasu nawet z dodatkiem tych przedmiotów, których dziś nikt się nie uczy, a które chłopu obywatelowi byłyby niezmiernie potrzebne.

Utyskiwania, że rodzice chłopscy nie chcą swych synów „kształcić na chłopów", miałyby dopiero wtedy rację bytu, gdyby istniały szkoły, spełniające to zadanie, ale z bardzo małymi wyjątkami, dotąd takich szkół niema, bo nawet o niższych szkołach rolniczych p. Straszewicz nie bez racji przypomina, że one swych uczniów kształcą na karbowych i ekonomów.

Podnoszenie poziomu kulturalnego ludu przez osadzenie po chatach jednostek z ośmioklasowym lub uniwersyteckim wykształceniem jest zmierzaniem do celu drogą najdłuższą i najkosz-

Leon Choromański.

ZMIERZCH.

Długie aleje topolowe, z których topola niejedna z korą obłupaną schła od czuba—biegły zielonymi kolumnami i po nich to, przenosząc nad drogą ogon czarno-biały, wieszały się trzpiotowate sroki — ruchliwe i wesołe wśród uroczystego smutku pustkowi. Na prawo i na lewo w oddali spłowiałej wynurzały się z jarów wioski zapadłe i szeptały mi swe imiona, dźwięczne jak srebro i lśniące jak płomyki. Lasy świerkowe, czerwone glinki, łupki zwietrzałe, głęboko wryte strumyki, kręte a bezszumne, jeziorka modro-rozlane pod nawisłymi wierzbami, kapusty ciemno szafirowe, nad którymi ogniły się czerwone maki, głogi jarzące się po wąwozach — to wszystko tak uroczo pieściło mnie barwą i milczeniem, głuchą tęsknotą życia pod prażeniem słońca, w objęciach wiatrów przegonnych i w floletach cichych zmierzchów. Młode kobiety międliły len i przyjaznym ukłonem witały wędrowca. Potym ganek z rzuconą nań makatą rdzawego bluszczu, postój pod czerwoną dachówką gospody, klawikord staroświecki żółty, przy którym usiadłem zdziwiony, że go tu zastaję, i grałem, wkładając w muzykę barwy i samotność dróg przejechanych. Biały pudel otworzył pyskiem drzwi niedomknięte i przyszedł po przyjacielsku złożyć głowę na mych kolanach. Znów jazda i księżyc wędrujący po chmurach. Te przybierały to kształt paszczy wężowej, to jamników, igrających z sobą. Tok to szło przedemną, zawieszone wysoko — igraszki światła i ciemnych chmur, przegony ruchliwego srebra i krep szarych. Aż wszystko, jakby znużone igraniem — stanęło. Pod księżycem rozwinęła się sfera mglawego uśpienia, atmosfera starej tęsknej baśni. Noc się roziskrzyła głęboka.

Było to daleko, więc przespałem noc w domu gościnnym pod naiwnymi obrazami, u cichych ludzi i dalej jechałem. Raźniej już mijałem białe chaty przydrożne i sponsowiałe gieorginje w ogródkach. Pokłady gipsu błyszczały srebrnawo. Z jednej strony — pamiętam — niebo zimne było

towniejszą, gdy szeroki trakt leży jak na dłoni. Misję kształcenia chłopa spełniać powinien nie ten lub ów sąsiad, który trochę nauki szkolnej i życia miejskiego zakosztował, lecz nauczyciel wykwalifikowany i obierający ją sobie za specjalne powołanie życia.

Nie przez kształcenie co czterdziestego chłopskiego syna w klasycznym gimnazjum, lecz wszystkich dzieci chłopskich w dobrej i dla nich odpowiedniej szkole cel ten osiągniętym zostać może. W pierwszym rzędzie zatym postawić należy reformę szkoły ludowej, gdzie ona w duchu potrzeb ludu dokonaną być może i takie rozszerzenie jej programu, by ona dawała wystarczające przygotowanie do samokształcenia ogólnego oraz do szkoły rolniczej chłopskiej, to jest przystosowanej do potrzeb gospodarstwa małorolnego. Nie kto inny, jeno nauczyciel ludowy powinien być pionierem postępu na wsi, w tym celu zaś powinien otrzymywać wszechstronne wykształcenie ze szczególnym uwzględnieniem tych gałęzi wiedzy, które mają najściślejszy związek z życiem wiejskim i pracą na roli. Jego uposażenie materjalne i stanowisko społeczne winno być o tyle podwyższone, by on mógł być tak dumnym i szczęśliwym ze swego stanu nauczycielskiego, jak w marzeniach *Dziennika Poznańskiego* miałby być dumnym ze swego stanu chłop, i by — nawet nie mając żadnych męczeńskich aspiracji — powołaniu swemu mógł się na całe życie poświęcić. Dotychczas — jak wiemy — nawet tam, gdzie szkoła ludowa i wykształcenie nauczycieli całkowicie leży w naszym ręku, np. w Galicji, bardzo nam daleko do tego ideału. Szkoła elementarna nie może oczywiście dawać wykształcenia fachowego, a nauczyciel ludowy byłby obarczony nad siłę, gdyby mu przyszło równocześnie prowadzić lekcje z liczną gromadą dzieci i kursy rolnicze dla dorosłych. Dla tego niezbędnym jest jaknajszersze rozpowszechnienie takich szkół jak Pszczelin, Sokołówek, Kruszynek i Gołotczyzna, któreby chłopów na chłopów kształciły. Poza tym należałoby dostarczać masom wiejskim jaknajobfitszych źródeł samokształcenia w postaci czytelni ludowych, bibljotek ruchomych, zimowych kursów i odczytów.

PROTEST.

Wszczynanie walk religijnych i wskrzeszanie w XX stuleciu średniowiecznego fanatyzmu potępiamy, jako zbrodniczy zamach na zdrowy rozwój narodu i najcenniejsze zdobycze kultury.

Łączymy przeto nasze głosy w gorącym proteście przeciw nagance duchowieństwa na „Zaranie", a naszym wyklętym braciom z ludu śłemy wyrazy współczucia, otuchy i solidarności.

9) (Ciąg dalszy podpisów)

Konstanty Gordzielkowski (gub. Mohylowska), Jan Furowicz, Janina Furowiczowa (Mohylów), Ludwik Jelec, (Mińsk), Ludwik Wykowski, Stanisława i Stanisław Szolkowscy, Julja D-r Wykowska, Gustaw Wykowski, Marja Piotrowska, Wanda Wykowska, Józef Zgierski, (gub. Mohylowska), Józef Nawrocki (Petersburg).

---

i opałowo obojętne, a z drugiej — drżało djamentowo, kapało rzęsistą ulewą, całowało mię z uniesieniem! Długo widziałem, a wciąż zdala a zdala, iglicę wieży owej świątyni wyczekiwanej, do której wreszcie donośły mnie konie, zmęczone już i robiące bokami. Małe miasto podobne było do zwłok ryby śniętej. A naokół rozkładał się przestwór łąk soczystych, zwartą i jaskrawą porosłych trawą, pośród której tu i owdzie w tym głębokim kobiercu połśniewała rzeka. Jak okiem sięgnąć miasto się słało tu *ongi*, gdy jeszcze tak mawiano, — miasto i gród obronny. Dziś od trupów, wdeptanych w ziemię, trawa bujniej rośnie. Nawet woda w rzece wydała mi się zdala gęściejszą i zagadkowej barwy, jakby wlew posoki ludzkiej i końskiej jeszcze się w niej rdzawił.

Miasto nikłe jest teraz, wyrudziałe i garbate. Koło krzywych butwiejących parkanów wylegiwały się ociężałe świnie. Nad straganami drzemały jakieś licho odziane kobieciny niepokaźne. Napisy ubogie i niegramatyczne wyszczerzały się, jak chore zęby z ust wypaczonych gorączką. A pośród tej biedoty szarej, drobnej i cierpliwej— kościół w przepychu olbrzymiego wzrostu i harmonji upajającej!

Tam wszedłem—do tego kościoła wyniosłego i znalazłem się pod strzelistymi stropami, gdzie na obrazach i w posągach zastygły wieki. Wzniosłem głowę. Nademną wysoko na zwornikach sklepiennych widniały herby dzielnic i twarze książąt. Jedna głowa z rozwianymi włosami, z wyrazem żarliwego uniesienia, zdawała się szybować jak orzeł nad górami w płomieniach. Przechodziłem od nagrobka do nagrobka, czytając pod rycerzami z bronzu i matronami długie napisy pochwalne — zadowolony, że nikt się nie zjawiał. Matka Boska, jak gospodyni dobroczynna, w lamie złotej, ziewała światłość z białych rączek. Obok Niej wisiał gobelin wyblakły i na nim wyobrażone cuda za Jej powodem otrzymane: Konie rozbiegane stanęły, gdy ukazała się nad urwiskiem... Chromy ofiarował srebrną nogę i uleczony... Kobieta we śnie udusiła dziecko. Ożyło, gdy Ona spojrzała... I tyle innych, miłych sercu naiwnemu... *Grzeszniku pamiętaj na śmierć*... wołał napis na długiej wstędze. Wysokie okna o szybach lśniących kryształowo, a niektórych barwnych, jak godziny

Henryk Krynicki, Stanisław Kielesiński, J. Jarząbek, Ignacy Idzik, Michał Sokołowski, Andrzej Dutkiewicz, Stanisław Sojda, Franciszek Watuś, K. Kołowski, Adam Szczukiewicz, Bogdan Łupinkiewicz, J. Krawczyk.

Z Szadka, gub. Kal.: Antoni Zabłocki, Józef Aleksandrowicz, F. Kobuziewicz, Michał Zabłocki, Eleonora Zabłocka, Kazimierz Sarnecki, Ignacy Aleksandrowicz, Ignacy Sterkiewicz, Ignacy Zabłocki, W. Kwaśniewski, Michał Urtyniak, Franciszek Sędzikowski, Michał Turojczyk, Kazimiera Zabłocka, Władysław Łukasiewicz, Franciszek Michalak, Szczepan Rnika, Ignacy Brejnert, Stanisław Stasiak, Ignacy Zabłocki, Józef Syndzikowski, Marjanna Syndzikowska, Anna Półkowska, Wawrzyniec Smolarek, Stanisław Smolarek, Józef Smolarek, Kazimierz Smolarek, Władysław Krasiński, Józefa Krasińska, Bronisława Smolarek, Józef Hodziaszek, Jan Łukasiewicz, Antoni Łukasiewicz, Jerzy Kurnatowski, Walenty Porodziński, Antoni Cieślak, Józef Janiak, Walenty Kraciński, Józef Dubiek, Józef Mazurkiewicz, Józefa Papadzińska (Gołotczyźnianka), Władysław Szubert, Walenty Mazurkiewicz, Wojciech Świtalski, Wacław Grabski.

Z Turczan, Wol. gub.: Tadeusz Krzyżanowski, Krzyżanowska.

Z Libawy: Wł. Ossowska, J. Kuczewska, O. Kuczewski Jadwiga Ciemnołońska, Jadwiga Miłoszeńska, Stefan Miłoszeński, Helena Morcewiczowa, Adam Dorogierd, Wincerta Mackiewiczówna, Janina Kietlińska, Benigno Mackiewiczówna, Franciszka Rokiewicz, J. Ossowski.

Felicja Skokowska, Edwarda Piechowska, Kazimierz Piechowski, Marja Kobierska, Janina Dąbrowska, Marja Zabokrzycka, Jerzy Budziński.

Ludwika Szwoynicka, Jadwiga Ławcewiczowa, Tekla Logisowa, K. Ziabicka, Teresa Lilejko, Stanisława Pietkiewicz, Stefanja Chomochowska, D-r Henryk Sarcewicz, Marja Sarcewiczowa, Melanja Lilejko, Helena Bulhak, K. Dąbrowska, Wanda Dąbrowska, V. Kociołło, Marja Taraszkiewicz, Marja Gościewiczówna, Marja Jechniewiczówna, Anna Szwoynicka, Zygmunt Szwoynicki, Adolf Szwoynicki, O. Wiszniewska, W. Kosianowski, Stanisław Billewicz, Helena Reinhold.

D-r Z. Wojciechowski, W. Wojciechowski, inżynier, Helena Krauze, Emilja Zwiagincew, L. Wilińska, Eugenjusz Zwiagincew, Stefanja Wilińska, Z. Wojciechowska.

Z Częstochowy: Wł. Wrześniowski lekarz, K. Sokołowski, lekarz, Jan Hanicki, nauczyciel, Br. Winnicki.

Stanisław Marzec, Piotr Berne, Jan Janiszewski, Mikołaj Sokołowski, Władysław Chrząszczyk, Stefan Koch, Władysław Świętkowski, Stanisław Koch.

Eugenjusz Sokołowski, ziemianin lubelski, Helena Wojdyńska, Marja Dobrowolska, Wacław Dobrowolski, Michalina Sokołowska, Władysław Smólski, Kaźmiera Smólska.

Stef. Adamiecki, Stefanja Adamiecka, St. Olszewski, Kaźmiera Dobrzeńska.

Siedlce: P. M. Sokołowski, L. Gątkowska, A. Zalewska, Gabryela Taborowska, Juljusz Taborowski, Wojciech Brydziński, Janina Sokołowska.

Z Lublina: Jan Hempel, Witold Giełżyński, Zygm. Jabłoński, Wł. Wąsowski, Tadeusz Grzymulski, Stanisław Muszkat, Gustaw Jentys, W. Olszowska, J. Pomorski, K. Ankowska, Marek Lech, Sabina Romanowska, M. Piasecka, K. Twardowski, Ignacy Choiński z Łomżyńskiego.

Z Lublina: Petronela Olszańska, Wanda Dembska, Aleksander Olszański, Wojciech Mickiewicz, Tekla Miskiewicz, Marja Gierczak, Teodor Gajdzik, Roman Michalski, Marja Piaskowska, Jan Michalak, Emilja Michalak, Zygmunt Gierczak, Jan Gierczak, Bolesław Fitas, Józef Błoński, Marja Błońska, Jan Błoński, Kazimierz Kilner, Józef Kielesiński, Fryderyk Zatorski, Bronisława Zatorska Tadeusz Dobrowolski, Stanisława Dobrowolska, Franciszek Michalak, Stanisław Michalak, Zofia Michalak Stanisław Rząd, Franciszek Rząd, Wacław Rząd, K. Benczewski, H. Miller, Wacław Simon, Paweł Pyc, Stanisław Zieliński, A. Jasik, Antonina Jasik, Edward Rząd, Stanisław Stelmachowicz, Jan Kossakowski, L. Reichelt, K. Linko, B. Zieleniewski, Stanisław Sztraus, Władysław Andryka, Karol Lange, Janina Drzewińska, Stanisław Lange, Aleksandra Lange, Stefan Jerzyński, Wacława Zarzyńska, Aniela Mazur, Robert Franke.

Z Lublina: Aleksander Kamiński.

Z Lublina: Dr. B. Szonecki.

---

szczęśliwe, zdawały się ze świętą powagą zlewać światło słoneczne na ciemne chłodne tafle posadzki. Polichromowany posążek króla głosił: „Byłem mały, ale śmiały. . Prusaki biłem i... „Tu wiersz zatarty" — szepnął mi ksiądz, który milczkiem się zjawił — „historja historją, a trzeba było zatrzeć"...

Był to człowieczek cichy, w poplamionej sutannie, źle ogolony, siwiejący, blady i wymokły. Spojrzałem na jego czoło żałosne, wytarte, poradlone od codziennych znojów. Wydał mi się pokorny i ukrywający jakąś małą, poziomą namiętność. Przesiąkł smutkiem tych murów. Kwaśny był w duchu i ubogi.

Widziałem w jego oczach wyraz piwniczny, podobny do anemicznego, strzępiastego wyglądu zielska, które wybujało wśród zmurszałych cegieł pod okapami, gdzie słońce rzadko zagląda. To zielsko tam rośnie uparte a smutne i chrzęst jego, gdy wiatr nim chwieje, przypomina chrzęst trawy na zapuszczonym grobie.

Prosiłem, aby mnie wprowadzono na poddasze kościoła. Chciałem obejrzeć słynne wiązanie z drzewa modrzewiowego. Długo pięliśmy się — ja i kościelny — po schodach wązkich i stromych, które jakby chrząkały ostrzegawczo. Otworzył niskie drzwi w głębi ościeży. Stanąłem pod ostrogrannym spadem wyniosłego dachu.

Las potężnych trzonów, smagłych, skłębionych, jak trzewia brunatne, słupców, łuków i piętnarów mroczniał w półświetle i milczeniu. Przez otwór kwadratowy wpadał snop promieni i w świetle poddasza bladem, jak twarz przerażona, latały chmary ptaków czarnych i lśniących.

Na widok tego światła bladego i ptaków, zakreślających głuche kręgi, niebacznych na obecność dwóch ludzi, wcisnąłem w dłoń człowieka pieniądz, prosząc, aby zostawił mnie samego.

I siedząc na belce, uczułem piękność i niemotę kościoła, rozsypującego się na dole w milczeniu i bez obrony. Ptaki wpadały przez otwór, podlatywały niemo, siadały rzędem na belkach, zwracały się do siebie dziobami, patrzyły uparcie oczyma lśniącymi, jak krople płynów czarodziejskich lub ciemne drogie kamienie.

Tak pełne były te ptaki uroczystej złowieszczej powagi, że gorycz i osłupienie ogarnęły mi serce, osłupienie i niemota kościoła na dole.

Siedlce: Wacław Kutyłowski-Sokól nauczyciel szkoły Podlaskiej w siedlcach, Helena Kobyłowska-Sokól.

Z Radziwiłowa: Józef Liszkiewicz, Władysław Liszkiewicz, Franciszek Zaleski, Tadeusz Liszkiewicz, Zofja Liszkiewiczowa.

Z Żyrardowa: Jadwiga Emichówna.

Przegląd polityczny.

Ostatni zatarg wewnętrzny w Turcji, zapowiadający się niesłychanie groźnie, został na razie zażegnany bardzo tanim kosztem, skończyło się bowiem dotąd na przesileniu gabinetowym. Do ministerjum weszło kilka jednostek poważnych, zasłużonych i popularnych, w tym trzech ex-wezyrów. Kiamil Pasza, Hussein Hilmi i Ferid pasza, albańczyk, którego współudział w rządzie ma wpłynąć uspakajająco na jego zrewoltowanych współrodaków. Jakkolwiek obecny wielki wezyr Ghazi Muktar Pasza znany jest raczej jako żołnierz, niż polityk, już dziś widoczną jest rzeczą, że nowy rząd raczej do układów niż do oręża uciekać się zamierza dla rozwiązania kłopotliwej i niebezpiecznej dla państwa sytuacji, rozumiejąc, że wszelkie dobrowolne ustępstwa lepsze są i mniejszą grożą stratą niż rozdmuchanie pożaru wojny domowej, która przy obecnym stanie rzeczy mogłaby tylko przyspieszyć katastrofę ostateczną.

Postawiono już na porządku dziennym kwestję udzielenia Albanji autonomji, to jednak wzbudziło silne zaniepokojenie w Serbji, Bułgarji i Grecji, jako państewkach, z których każde ma własną sferę interesów w zbuntowanej prowincji. To okazuje dowodnie, jak trudno jest przy najlepszej woli nawet rozwikłać węzeł gordyjski spleciony w ciągu wieków na Bałkańskim półwyspie a licznymi nitkami powiązany z całą siecią polityki europejskiej. Po cichu tworzą się tam dziś nowe sojusze. Serbja z Bułgarją zawarła już umowę, projektowana jest podobna umowa między Bułgarją a Grecją, najwięcej jednak zaważyć może na losach tych państewek ujawnione obecnie, lecz istniejące od lat kilku tajne przymierze między Austrją i Bułgarją przewidujące ewentualny rozbiór Turcji.

Wobec takiej perspektywy przyznać trzeba, że Turcja zmuszona jest do bardzo ostrożnej polityki i słusznie czyni nie pozwalając się sprowokować do ostrych i awanturniczych wystąpień czy to na wewnątrz, czy na zewnątrz.

Już przed przesileniem gabinetowym toczyły się po cichu w jednym z miasteczek szwajcarskich wstępne układy między przedstawicielami Włoch i Turcji co do ewentualnych warunków pokoju. Zostały one przerwane zmianą rządu, a skutkiem tego, dla braku dostatecznych pełnomocnictw ze strony tureckiej. Jest jednak rzeczą prawdopodobną, że nowy rząd tym skwapliwiej wątek układów pochwyci i będzie je chciał doprowadzić do szczęśliwego wyniku, gdyż przeważają w nim wpływy angielskie, a Anglja bynajmniej nie może pragnąć przedłużenia lub zaostrzenia zatargu, krzyżującego wielce jej interesy.

Wolna i spokojna żegluga we wschodniej stronie Morza Śródziemnego jest dla niej ze względów ekonomicznych wprost niezbędną, przez Suez i przez Dardanele sprowadza ona swój główny zapas żywności; tamtędy wiedzie droga do Indji i Egiptu, jej najcenniejszych placówek, a jej stan posiadania w owych stronach jest o tyle zadowalający, że zmiany nie są dla niej bynajmniej pożądane. Natomiast wielce jej zależy na tym, by módz swe siły skoncentrować w innej stronie, w czym już stanęła jej na przeszkodzie akcja zaczepna Włoch na morzu Egejskim. Dla obrony Egiptu zbyteczne jest jej podobno wzmacnianie garnizonów armji lądowej, natomiast silna flota jest niezbędną, granic lądo-

---

Widziałem jego starość przerażającą: usta świętych, zasypywane kurzem, przyćmienie świecznika kryształowego, wiszącego nawprost cymborjum, żelazne drzwiczki, przegryzane rudą rdzą, pękanie tynku, opadającego małemi płatami, podobnemi do białych hostji, które spadają nie w usta otwarte, żarliwe i oczekujące, lecz na zimne głazy posadzki, gdzie je rozdeptuje noga obojętna. Ze starego gobelinu osypywała się chmurą łuseczka srebrna: tak w pył i proch obracały się dawne cuda i wiara, rozbrajająca czułością!...

Czułem śmierć powolną kościoła i objąwszy okiem jego nawy, pełne krzyżów, kolumn, twarzy anielskich, wieńców cierniowych i lamp pełgających czerwono w dzwonnej otęczy kryształów — chciałem wyczarować krzyk pełen żądzy nieba, męki i potęgi, na który gromem odpowiedzą olbrzymie trąby organów. Lecz krzyk się nie rozległ: zaskwierczało skomlenie psa i wilgotne pochlipywanie starca, który, stojąc gdzieś w kącie poza promieniami słońca, wdzierającymi się wylotem, płakał i drżał w ciemnych łachmanach.

Wtedy rozległ się dzwon na wieży, zagarniając fale powietrza i miotając je na nikłą, dogorywającą mieścinę.

I skradłszy się — w myślach zaiste — pod ten dzwon rozkołysany, okryłem nim głowę, jak hełmem olbrzymim i odszukałem chciwemi oczyma pęknięcie ukośne, podobne do błyskawicy.

I źrenicami, które widziały powolny, głuchy i niemy ciąg Samotnicy-Śmierci patrzyłem radośnie na słońce nizko się pławiące, żywe i czerwone, które zmieniało mi pęknięcie dzwonu w żyłę, pełną tętna i krwi rubinowej.

K O N I E C

wych tego kraju broni bowiem dostatecznie pu-słynia.

Sprawa obrony państwa była przedmiotem narad specjalnej konferencji imperjalnej, która się odbyła w Londynie przy udziale przedstawicieli wszystkich kolonji. Chodziło o to, by zapewnić sobie na wypadek wojny pomoc zbrojną ze strony zjednoczonych państw i republik wchodzących w skład bryłańskiego cesarstwa.

Rezultat tych narad mógł napełnić Anglję otuchą i słuszną dumę, gdyż wykazał, jak świetne rezultaty osiągnęła jej mądra polityka kolonialna. Wszystkie kolonje, w pierwszym rzędzie zaś Kanada przez usta swego premiera, Mr. Borden, oświadczyły swą gotowość budowy okrętów wojennych i oddanie ich pod wspólną komendę. Obrona posiadłości angielskich przed obcym najazdem leży bowiem w dobrze zrozumianym interesie tych wszystkich krajów, pojmujących dobrze jak srodze los ich mógłby się pogorszyć, gdyby dostali się pod jarzmo niemieckie naprzykład. Większość tych państw korzysta pod flagą angielską z tak szerokiej wolności, że łączność z metropolją odczuwają jedynie jako dobrodziejstwo. W cieniu angielskiej potęgi osłonięte od obcego najazdu wszystkie siły poświęcają rozwojowi swych instytucji i swej kultury. W takim położeniu jest naprzykład Kanada. Mowa pana Borden wygłoszona na konferencji obrony państwowej w Londynie była wyrazem uczuć lojalnych dalekich od wszelkiego serwilizmu.

Kanada ceni swą autonomję, mówił, i że żadną cenę uszczuplić jej nie pozwoli. Pojmując jak niezbędnym warunkiem bezpieczeństwa jest dla niej potęga angielska, gotowa dla jej podtrzymania wszystkie ponieść ofiary, żądając wzamian jednak wpływu na kierunek polityki zagranicznej, od której skala tych ofiar jest zależna. Jeden król, jeden sztandar — jedna flota — zresztą wszystko oddzielne, oto nasze hasło! Mowy Bordena przyjmowano gorącymi oklaskami.

Japonja straciła w osobie swego cesarza monarchę, któremu historja zapewne przydomek wielkiego przysądzi, panowanie jego bowiem zaznaczyło się nadzwyczajnym wzrostem wewnętrznej kultury i zewnętrznej potęgi kraju. Śmierć jego nastąpiła w chwili, gdy japoński mąż stanu, Katsura, wyjechał na objazd Europy dla zebrania plonu z długoletniej mądrej i śmiałej polityki państwa Wschodzącego słońca.

Przyjaciele ludzkości.

II.

Jakób Nowikow.

Ode głos Williama T. Stead'a, rozlegający się w świetnych warunkach akustycznych najświatlejszego na ziemi audytorjum ludów anglo-saskich, zyskiwał wdzięczny posłuch i rozgłos — o tyle znów Jakób Nowikow, niemniej świetny a głębszy o wiele pisarz i znakomity socjolog, mieszkając w Odessie, odzywał się jakoby z pod grubych i głuchych zasp nieprzebitej ciemnoty i trudnego do wiary barbarzyństwa. To też Nowikow, Rosjanin tylko z imienia, pisywał przeważnie po francusku, czuł się człowiekiem typu zachodniego, licznych przyjaciół, chętnych nakładców i czytelników znajdował w Paryżu, Brukseli, Londynie i krajach skandynawskich. We własnej ojczyźnie przez nikogo prawie nieznany i nierozumiany, cieszył się rzetelnym uznaniem europejskiego świata uczonego, dzięki czemu piastował czas jakiś godność wiceprezesa Międzynarodowego Instytutu Socjologicznego, poczym wespół z Björnsonem i Seignobosem redagował w Paryżu *le Courrier Européen.*

W r. 1886 wydał pierwszą swoją większą pracę p. t. *La Politique Internationale,* z przedmową Eugène'a Veron'a, który powiada: „każdy rozdział tej książki mógłby posłużyć za temat do całego tomu, a wtedy całość wytworzyłaby jedno z tych dzieł kapitalnych, które znaczą etapy w dziejach ludzkości, przyczyniając się potężnie do jej rozwoju“

Taką całość poniekąd stanowi dalsza, obfita twórczość Nowikowa, który, nie schodząc z raz wytkniętej drogi, podejmował ponownie i rozwijał z niezrównaną maestrją i siłą przekonania kolejne przesłanki podstawowe swej tezy.

Oto niektóre z jego prac w porządku chronologicznym: *Conscience et volonte sociales* (1890) — *La Guerre et ses prétendus bienfaits* (1894) — *Les gaspillages des sociétés modernes* (1894) — *La Théorie organique des sociétés* (1899) — *Der Ewige Krieg* (1899) — *La Fédération de l' Europe* (1901) — *Missione del Italia* (1902) — *L'avenir de la race blanche* (1902) — *l' Affranchisement de la femme* (1912) — *l' Expansion de la nationalité française* (1903) — *Les luttes entre les sociétés humaines* (1904) — *La possibilité du bonheur* (1904) — *La Iustice et l'expansion de la vie* (1902) — *Le problème de la misère* (1908) — *La Critique du Darwinisme Social* (1910) *i t. d.*

Z długiego szeregu tych prac, pisanych precyzyjnie, jasno i potoczyście, bije olbrzymia siła suggestji, godne bezwzględnego szacunku pragnienia przekonać ludzi na podstawie niezbitych argumentów, że pełnia funkcji życiowych jednostek i narodów nie godzi się z niczyją krzywdą, wbrew utartym poglądom na konieczność współzawodnictwa i walki. Czystej krwi racjonalista, trakluje Nowikow teorje Darwina i Marksa jako pożałowania godny kierunek wsteczny w moralności i polityce „Darwinizm — woła — niemal wniwecz obrócił dzieło Encyklopedystów.. Brutalna doktryna naszych czasów: „siła przed prawem“ odrzuca nas ponownie wstecz po za Monteskjusza i Woltera“. [1]) Należy przyznać, że tak jest w istocie.

Przewodnia idea Nowikowa, idąc poprzez wszystkie jego prace, da się w ten sposób sformułować: życie każdej jednostki pogłębia się i wszechstronnieje wskutek istnienia jednostek podobnych

Z podstawowych praw biologji wynika, że skoro ludzie stworzą jedną społeczność, dobrobyt każdego człowieka dojdzie do zenitu. Innymi słowy szczyt intensywności życiowej poszczególnych jednostek jest wynikiem i normą współdziałania, tylko skoordynowany organizm jest organizmem żywym; ludzkość, jeszcze nie skordynowana należycie, żyje dotąd życiem połowicznym.

Zgodnie z ostatnimi danymi solidaryzmu

[1]) *La Critique du Darwinisme Social.* Nie mogąc narazie zapoznać się z całym dorobkiem naukowym Nowikowa, poprzestać tu muszę na streszczeniu i charakterystyce następujących dzieł: *La Politique Internationale, la Fédération de l' Europe, La Possibilité du Bonheur, Critique du Darwinisme Social.* — L. B.

twierdzi Nowikow, że „naturalnym stanem człowieka jest zrzeszenie“ wbrew teorji Jana Jakóba Rossseau, którego „*l' homme de la nature*“ jest istotą fikcyjną. Solidaryzm dowiódł niezbicie, że *l'homme isolé n'existe pas*; Nowikow idzie dalej i wykazuje niemożność normalnego istnienia przeciwstawiających się wzajemnie państw i narodów. Ciążący nad światem, jak zmora, czynnik wojny i przemocy, usunięty z dziedziny prawa cywilnego, wprowadza w stosunki międzypaństwowe bezwzględny, anarchistyczny egotyzm. Dwa główne jego motywy to rozbiór Polski i zabór Alzacji i Lotaryngji. Należy dodać, że ten świetny socjolog rosyjski, zupełnie u nas nieznany, jest gorącym rzecznikiem sprawy polskiej, czego liczne złożył dowody.

Według metody Nowikowa, czynniki, rządzące życiem jednostki w państwie, wpływają w tej samej mierze na byt narodów i państw, wystawionych na coraz ściślejszą ze sobą współzależność. Niema narodów bezględnie wolnych, podobnie jak niema bezględnie wolnych jednostek. Wolność jednostki, proklamowana w r. 1789-ym, okazała się rychło zawodną, bo sama przez się nikogo nie zabezpiecza od wyzysku i poniewierki; podobnie państwa i narody, żyjące w ustawicznym lęku zaborów i najazdów, cieszą się wielce problematyczną wolnością. Niszczące brzemię militaryzmu nietylko że ich nie zabezpiecza od gwałtów, lecz wojnę czyni jeszcze straszliwszą, a pokój niewiele od wojny znośniejszym. Kilka zaledwie państw europejskich wyzbyło się tej newrozy: Szwajcarja, Belgja, Holandja, kraje Skandynawskie. Posiadły też one kulturę i dobrobyt, nieznany w mocarstwach, pyszniących się siłą zbrojną. Państwo, które wyrzeka się podbojów i gwałtów, czyni to samo, co człowiek, biorący rozbrat z łupieżczym trybem życia: z fazy barbarzyńskiego chaosu przechodzi w stan bytu prawnego.

Warto zauważyć w nawiasie, że łupieżczy atawizm nacjonalistów stawia ich w jednym rzędzie z anarcho-bandytami w rodzaju Garniera, Bonnota i S-ki, którzy pomiatają zarówno duchem prawnego i pokojowego trybu życia.

Że taki atawizm ostał się nawet w narodach, które same cierpią od bezprawia i przemocy — dowód, jak trudno wytępić ten haniebny instynkt szczątkowy.

Sąsiaduje on zresztą z innym, niemniej typowym objawem: jest nim kult rozległości, czyli monoideizm terytorjalny. Utarło się mniemanie, że jakoby siła państwa zależy od jego obszaru i zaludnienia. Pogląd zgoła niedorzeczny. Istotnie, średniowieczni władcy byli wielkimi obszarnikami, czerpiącymi dochody z ziemi, proporcjonalnie do jej rozległości. Mimo wielce zmienionych warunków, zachowano dotąd owe czysto feudalne skłonności do zaborów terytorjalnych, zazwyczaj dla państwa niekorzystnych, a nawet uciążliwych.

Tymczasem — dowodzi Nowikow — istotną potęgą narodów jest zespół dzieł pożytecznych, istotnym bogactwem — produkcyjność pracy. Wdrożenie norm prawnych w polityce pozwoli dopiero ludziom skupić należytą energję dokoła pracy produkcyjnej i zażegnać straszliwą nędzę proletarjatu. To też kwestja społeczna, zdaniem Nowikowa, wchodzi w zakres zadań polityki i winna być rozwiązana środkami subjektywnymi. *)

*) „La solution de la question sociale et la Fédération du genre humain sont un seul et même fait“ (*La Critique du Darwinisme social*).

Chwila, kiedy metoda chaosu i łupieztwa w polityce przestanie uchodzić za korzystną dla kogokolwiek — nastąpi może rychlej, niż to się powszechnie przypuszcza. Jedyną bowiem istotną potrzebą narodów jest bezpieczeństwo, uzyskane już w życiu prywatnym. Właściwy patrjotyzm różni się też bardzo od zachłannej monoideologji, bowiem dobrobyt państw poszczególnych wiąże się ściśle z dobrobytem całego środowiska, a więc z istnieniem, rozwojem i szczęściem innych narodów.

Nie chce tego pojąć „unitaryzm“ (nacjonalizm bojujący) w którym widzi Nowikow najcięższą plagę naszych czasów.

„Sposoby rugów i szykan narodowościowych — woła socjolog rosyjski — wytworzyły w pewnych krajach istne piekło“. Przykładem — Polska. Ostatnimi zwłaszcza czasy furja unitarystów (czyli *objedinitieli*) gdzieniegdzie graniczy z formalnym obłędem. Jako typowy wzór takiego obłędu cytuje Nowikow przysłowie, które sam słyszał nieraz z ust wybitnych dygnitarzy swego kraju: „*pieremielietsia — muka budiet*“. Patrząc na konwulsje narodów, miażdżonych młyńskimi głazami tego systemu, Nowikow woła z oburzeniem: „nie, panowie! z tej mąki nigdy nie będzie chleba!“ Cierpienia, zadane Polakom, Finlandczykom, Kroatom, Ormianom — są zupełnie bezcelowe. Są one absurdem, niemniejszym od tortur, stosowanych przez sądy średniowieczne. „Wynaradawianie przemocą należy do tej samej kategorji czynów, co dochodzenie prawdy za pomocą tortur“.

Inkwizycyję wszak zarzucono, przekonawszy się, jak jest bezcelową i bezsilną. Nacjonalizm zaborczy jest również przejściową fazą, której Nowikow nie rokuje długiego istnienia. „Przed 200 zaledwie laty zasada *cujus regio ejus religio* panowała wszechwładnie. Każdy władca miał się za uprawnionego do wpajania gwałtem swojej religji we wszystkich swoich poddanych“. A co z tej zasady zostało? Gruzy. W gruzy też legnie niedorzeczny i opłakany system rugów narodowościowych. „*Narodowość* — woła Nowikow, — *narodowość jest faktem równie konkretnym, jak państwo*“. Z tym faktem liczyć się musi przyszła federacja państw, oparta na eurytmie, czyli świadomym, zgodnym współdziałaniu.

L. Brunn.

Moda.

Szkic społeczno-polityczny.

(Ciąg dalszy).

„Zwyczaje ludów cywilizowanych, pisze Spencer, zaciemniają przed nami tę prawdę, że człowiek pierwiastkowo nie był skłonny przywdziewać na się ubioru bądź dla ogrzania się, bądź ze względów skromności. Kiedy Speke opowiada nam o towarzyszących mu Afrykańczykach, że, nosząc z dumą płaszcze swe z końskiej skóry, kiedy była piękna pogoda, zrzucali je, gdy deszcz padał i chodzili nago, drżąc z chłodu; albo kiedy czytamy u Henglina, że pośród Schiluków, mężczyźni chodzą całkiem nago, a nawet sułtan oraz jego wezyr ukazują się w pewnego rodzaju częściowo zabarwionych koszulach li tylko podczas przyjęć urzędowych i w wypadku

uroczystości, to przekonywamy się, że zarówno ubiór, jak i godła, noszone są pierwiastkowo wskutek chęci obudzenia podziwu". [4])

Początkowo większy zasób odzieży oznacza wodzów i klasy przodujące; z czasem powstają też różnice w barwie, kształtach i jakości ubioru władców i rządzonych. „Tkaniny gorsze, dające odzież klasom niższym, muszą, rzecz prosta, cechować się barwami ciemnymi, jakimi się odznacza materjał surowy; tak było np. w Rzymie, gdzie „tylko ludzie biedni, niewolnicy i wyzwoleńcy, nosili odzież o przyrodzonej, brunatnej lub czarnej barwie wełny. Wskutek tego barwy jasne cechować będą zawsze ubiór rządzących, którzy mogą wydawać pieniądze na kosztowne barwniki". [5])

Tak było i u nas, skąd powstały nawet nazwy: szaraczek i karmazyn.

I oto, chęć uwydatnienia swego stanowiska i bogactwa, swej przynależności do wyższej klasy społecznej, stanowi właściwą pobudkę i cel mody. Ludzie ubierają się dla rozmaitych względów, o których mówiłem powyżej, modnie wszakże ubierają się tylko dla tego jednego, dla odróżnienia się od niższych.

W ten sposób znaczenie mody tłómaczą wszyscy jej badacze. [6])

Simmel widzi je właśnie w zjednoczeniu ludzi, należących do pewnej grupy społecznej i w wyodrębnieniu ich od grup niżej stojących. Moda, według niego, jest produktem podziału klasowego, jest wytworem potrzeb społecznych, (a zatym nie potrzeby okrycia ciała, ozdoby, wstydu, kokieterji lub zbytku), „dowodzi tego okoliczność, że jej pomysły, rzadko kiedy usprawiedliwić się dadzą z punktu widzenia praktyczności życiowej lub estetyki... a to dlatego, że inne nią kierują pobudki, a mianowicie: socjalne, jedyne, które modę wyjaśnić mogą". [7])

Kleinwächter cytuje Emanuela Hermanna, który już w 1778 r. określał modę, jako uniform klas panujących, jako oznakę charakteru socjalnego i dodaje od siebie: „Klasy panujące nie chcą wyrzec się tych oznak i starają się za pomocą ubrania wyróżnić od klas uboższych i mniej wykształconych". [8])

Ta dążność warstw wyższych sama przez się nie usprawiedliwiałaby jeszcze ciągłej zmiany strojów, gdyby warstwy niższe nie starały się ze swej strony zetrzeć różnic w ubraniu przez naśladownictwo warstw wyższych.

Za źródło mody uznać więc musimy dążność do odróżnienia się warstw wyższych, o tyle, o ile warstwy niższe starają się je naśladować, pozbawiając tym warstwy wyższe ich oznak szczególnych; źródłem mody zatym jest *dążność do zatarcia różnic stanowych czy klasowych, dążność do równości zewnętrznej i wewnętrznej.*

Rzut oka na historję strojów potwierdza to określenie.

Jeśli istnieje moda, to tylko dzięki wzmiankowanemu naśladownictwu.

Gdyby wszyscy ludzie byli równi, gdyby żadna grupa społeczna nie miała podstawy, ani chęci do wyróżnień, wszyscy ubieraliby się albo zupełnie jednakowo, albo zupełnie indywidualnie, zmiany w ubiorach byłyby nieznaczne. Nie byłoby potrzeby zaznaczania swej przynależności do wyższej czy niższej warstwy społecznej. Tak dzieje się w znacznym stopniu u ludu wiejskiego, gdzie istnieje pewne poczucie równości, przy zróżniczkowaniu społecznym tak nieznacznym, że gospodarz i jego parobek noszą ten sam tradycyjny strój ludowy, od wieków nie ulegający zmianom. Poza ludem wiejskim wszakże stan odróżnia się strojem od stanu, klasa od klasy, tak, jak odróżniają się stanowiskiem ekonomicznym, umysłowym i politycznym.

To też warstwy wyższe, skoro tylko spostrzegły konieczność odróżniania się strojem od warstw niższych, skorzystały ze swych przywilejów, aby zachować wyłącznie dla siebie pewne materje, ozdoby i barwy. Prawo wprost zabraniało używania ich przez warstwy niższe.

Dla wywołania interwencji prawa potrzeba było wszakże takiego wzrostu bogactw, takich wynalazków i udoskonaleń technicznych z jednej strony, a takiego wyodrębnienia i rozwoju stanów społecznych z drugiej, aby miał kto rywalizować ze sobą w strojach i aby był przedmiot do rywalizacji. To też pierwotnie nie tyle odzież różni ludzi, ile pewne oznaki ich dostojeństwa i godności. „W średnich wiekach, pisze Roscher, praca przemysłowa i handel były mało rozwinięte, nie było zatym materjału dla wielkiego zbytku". [9]) Historja zapisała ubóstwo tych rycerzy i panów, olśniewających nas na operach i w poematach, w porównaniu z obfitością i wytwornością warunków życiowych dzisiejszego, średnio zamożnego, mieszczaństwa. [10])

Ze sprawozdań wizytacyjnych zamków Karola Wielkiego (768—814) widać, że bielizna w jednym z nich składała się z dwóch prześcieradeł, jednego ręcznika i jednego obrusa. Jak Grecy i Rzymianie, tak i Europa średnich wieków znała prawie wyłącznie tkaniny wełniane; użycie lnu i jedwabiu, do epoki Odrodzenia było mało rozpowszechnione. Wprawdzie Justynian zaprowadził w Konstantynopolu fabrykację jedwabiu (552), a, syn Karola Wielkiego, Ludwik Pobożny zabronił swym poddanym noszenia materji jedwabnej, co świadczyłoby, że wśród znakomitego rycerstwa była ona już w użyciu, ceny jej wszakże wówczas były tak wysokie, że wielkiego rozpowszechnienia zdobyć nie mogła.

Chustek do nosa zaczęto używać dopiero w XVI wieku. Płaskorzeźba na grobie królewskim w Dijon (1439) przedstawia dwóch rycerzy, z których jeden wyciera sobie nos połą swego płaszcza, a drugi palcami. Kodeks dobrych obyczajów z owych czasów zaleca wycieranie sobie nosa palcami lewej ręki „prawą bowiem bierze się mięso". Również pończochy sięgają zaledwie XVI wieku. Gdy zaczęto wyrabiać je z jedwabiu, Henryk III nosił je pierwszy we Francji na ślubie swej siostry, królowa angielska Elżbieta kładła je tylko podczas wielkich uroczystości, a Filip II hiszpański otrzymał w podarunku jedną ich parę. Henryk IV w 1594 r. miał dwanaście koszul przeważnie podartych, a wnuczka jego, panna Montpansier (w XVII wieku) pisze w swoich pamiętnikach: „nie miałam zupełnie bielizny

[4]) Herber Spencer. Instytucje obrzędowe. (przekł. polski) [illegible]

[5]) Tamże str. 106.

[6]) Simmel l. c. [illegible]

[7]) Kleinwächter l. c. str. 36.

[8]) [illegible]

[9]) Roscher l. c. [illegible]

[10]) Por. L. Bourdeau l. c. — H. Baudrillart [illegible]

do zmiany; w nocy prano moją koszulę dzienną, a w dzień — nocną, co jest, dodaje, bardzo niedogodne".

Nie będę mnożył przykładów powolnego rozwoju kultury materjalnej i stosunkowo niedawnego pochodzenia tych wymagań porządku i czystości, bez których człowiek dzisiejszy nie mógł by sobie wyobrazić życia. Baudrillart, Cabunés, Bourdeau i inni dają nam całkowity obraz życia poprzednich pokoleń, który świadczy, że rzemiosła i sztuka w średnich wiekach nie stały dość wysoko na to, aby zbytkowne stroje mogły się znacznie rozpowszechnić, i jakkolwiek, i wówczas panował już zbytek, ograniczał się on niełedwie do dworów królewskich i ich najbliższego otoczenia, i nie mógł wywoływać szerokiego współzawodnictwa. Szlachta nie mogła rywalizować z wielkimi panami, tymbardziej nie było do tego zdolne mieszczaństwo.

Wzrost miast europejskich rozpoczyna się w XI i XII wiekach.

Dopiero wówczas mieszczanie zdobywać zaczynają przywileje, przeważnie królewskie, które sprzyjają ich bogaceniu się i dopiero zbogacone mieszczaństwo zdolne było utworzyć stan trzeci, dość silny, aby przeciwstawić się stanom wyższym, aby dążyć do udziału w jego przywilejach. Odbiło się to i na historycznym rozwoju mody, której początek badacze odnoszą do chwili powstania współzawodnictwa pomiędzy szlachtą i mieszczaństwem. Istniało ono zapewne i w łonie samej szlachty, a potym i w łonie mieszczaństwa; a chociaż współzawodnictwo zamknięte w granicach jednego stanu, nie przybierało nigdy charakteru tak ostrej walki i nie miało tego znaczenia politycznego co walka stanów o przewagę jednego nad drugim, współzawodnictwo to jednostanowe istniało zawsze i jako takie przyczyniało się do powstania i rozwoju mody. Magnat przez zmianę odzieży odróżniał się od szlachcica, szlachcic od mieszczanina odgradzał się zapomocą swych przywilejów.

Rozpoczęło się to współzawodnictwo na początku XIV stulecia [11]) t. j. w chwili, kiedy dzięki pochodom krzyżowym pomiędzy odosobnionymi dotychczas narodami zawiązały się ożywione stosunki handlowe, a z nimi wzrosło bogactwo i potęga mieszczaństwa.

Liczne edykty królów francuskich uderzają w zbytek mieszczański. Filip Piękny (1285—1314) wydaje prawo: „żadna mieszczanka nie będzie miała lektyki... Nie będzie nosiła ani popielic, ani gronostajów, i pozbędzie się ich, jeśli je posiada, w ciągu roku od najbliższej Wielkiej Nocy. Nie będzie nosiła ani złota, ani drogich kamieni, ani djademów ze złota, lub srebra. Żadna panna, nie szlachcianka, nie będzie miała więcej, niż dwie suknie na rok".

A przytym oznaczono najwyższe ceny materjałów, dozwolone mieszczankom, wzbudzającym oburzenie dam z arystokracji z powodu przepychu i strojów, i klejnotów. Żona Filipa Pięknego, na ich widok, podczas pobytu w Gandawie i Brugges, zawołała z gniewem: „myślałam, że ja tylko jestem królową, a widzę, że są ich tutaj całe setki". Baudrillart [12]) z tego powodu robi uwagę: ileż wielkich dam z zazdrosnym oburzeniem powtarzało ten okrzyk. Zbytek, roztaczany przez nadęte pychą kupcowe, czyż nie był skandalem? Był on zamachem na hierarchję. Król powinien mu położyć tamę. I król to uczynił. Wprawdzie, według tegoż autora, nie zupełnie skutecznie, jego *leges sumptuariae* bowiem nie powstrzymały wyłamywania się ze swego stanu mieszczaństwa, świadczą one wszakże o tym, że szlachta, wśród swoich przywilejów, broniła silnie swego prawa do pewnych strojów, wyróżniającego ją od innych stanów, jako stan przodujący. To też walka o ten przywilej toczy się długo, zaostrzając się w miarę wzrostu sił walczących i znajdując wyraz w coraz to nowych edyktach królewskich i uchwałach władz miejskich.

Karol VIII w edykcie z dnia 17 Grudnia 1474 r. pisze między innymi: „Ponieważ sprawa publiczna naszego królestwa ponosi szkodę z powodu wielkich wydatków, jakie wielu bardzo ponosi na zbytkowne stroje, nie odpowiednie ich stanowi, zabraniamy i zakazujemy wszystkim naszym poddanym, od tej chwili nosić suknie tkane ze złota i srebra, lub z jedwabiu, czy to na zewnątrz, czy to jako podszewkę, pod rygorem utraty stroju i kary, z wyjątkiem wszakże szlachty, która może się ubierać w sposób następujący: rycerze, (chevalier) mający dwa tysiące liwrów dochodu rocznego mogą używać wszelkich materji jedwabnych bez żadnych ograniczeń, szlachta (écuyer) zaś, mające również dwa tysiące liwrów rocznego dochodu, może używać sukna adamaszkowego i atłasu w deseń, ale nie wolno jej nosić aksamitu czerwonego lub innego, pod rygorem kary, jak wyżej". Za czasów Karola IX (1560—1574) ordonansów przeciwko zbytkowi była obfitość wielka. Nie szlachcic nie ma prawa używać ozdób i guzików złotych. Żonom mieszczan nie wolno używać tytułu: *demoiselle*, ani też nosić kostjumów wielkich dam. Jeszcze w 1700 r. zabroniono mieszczanom, wszystkim ludziom handlującym i pracującym, nie wyłączając prokuratorów i notarjuszów, ale z wyłączeniem adwokatów, nosić ozdoby ze złota i drogich kamieni.

Podobne prawa ochraniały szlachtę i w innych krajach przed rywalizacją zbogaconego i rosnącego w potęgę polityczną mieszczaństwa.

Przytoczymy z pomiędzy wielu innych charakterystyczne prawo bonońskie z 1453 r., które świadczy, jak ściśle rozróżniano prawa różnych stanów do tych lub owych strojów. Prawo bonońskie dzieli na trzy stopnie hierarchję społeczną kobiet. Pierwszy to damy i panny ze starej szlachty. Miały one prawo nosić suknie karmazynowe i różowe, oraz tren długości ³/₄ łokcia; oprócz tego sześć pierścionków, sznur korali, kamienie drogocenne na piersiach i na głowie. Córki szlachty pióra i nowszej szlachty rycerskiej miały prawo do trenu półłokciowego i czterech pierścieni. Do tej kategorji pod pewnymi warunkami zaliczono i niektórych mieszczan, o ile w ich familji choć jeden rycerz czy to pióra, czy szabli się znajdował. Trzeci nakoniec stopień stanowiły żony i córki artystów i rzemieślników: tren ich nie mógł przekraczać ¹/₄ części łokcia, a na rękach tylko dwa pierścienie nosić mogły [13])

(C. d. n.). *Józef Lange.*

[11]) Vischer l. c. str. 43. Wolfgang Quincke. Handbuch der Kostümkunde. Leipzig. 1908. Str. 102.

[12]) Baudrillart, T. 3, Str. 250.

[13]) Schultze l. c. Str. 104.

Z mojego pobytu w Paranie.

(Ciąg dalszy).

Stosunki towarzyskie w Kurytybie są iście wzorowe: gdy dwie osoby zejdą się na chwilę, przebierają po kolei wszystkich członków Polonji tutejszej. Z ust jak grad sypią się epitety: łotr, szubrawiec, złodziej, oszust i t. p. W rezultacie okazuje się, że tylko dwoje zacnych ludzi znajduje się w Paranie — to rozmawiający ze sobą. Doszedłszy do tak pomyślnych wyników, rozstają się, ażeby w innym miejscu i z innymi osobami powtórzyć to samo.

W sklepach porozumieć się po polsku nie można. Z dawniejszych, dobrych czasów, kiedy każdy zakład handlowy starał się mieć kogoś, znającego język polski, w celu porozumiewania się z klijentelą, pozostał jeden frazes. „nie rozumiem po polsku".

W „Gospodzie dla Imigrantów" pożywienie jest już znacznie gorsze: w miarę posuwania się wgłąb — jakość i ilość wydawanego posiłku maleją gwałtownie.

Obok gospody znajduje się „wenda" sympatycznego staruszka Włocha. Wypytuje się do jakiej należę narodowości. Na moje oświadczenie, żem Polak, kręci niedowierzająco głową

— Chyba tak nie jest, pan jakoś nie podobny do Polaków, bo Polacy to tacy... to tacy...

— *Bugros d'Europa*!—uzupełnia słuchający nas Brazyljanin (Bugrowie — indjanie brazylijscy, należą do najbardziej dzikich i niekulturalnych ludów).

Siedziałem pewnego dnia: na progu baraków emigranckich, oczekując zarządzającego.

— Niech będzie pochwalony! — wyprowadził mnie z zadumy cichy i drżący głos kobiecy.

— Na wieki — odpowiadam zbliżającej się do mnie staruszce.

Mieszka tu, w Kurytybie. Przywiozły ją dzieci, a teraz boi się wracać. Widziała, że umierających na morzu wrzucają do wody. Taki pogrzeb wzbudza w niej lęk nieopisany.

— Więc o tym nie myślę; przychodzę tu tylko czasami, może zabaczę kogoś ze swoich. Żeby choć psa zobaczyć, żeby choć wronę...

W dźwiękach jej mowy brzmiała taka potęga żywiołowo wybujającej tęsknoty, że nie umiałem znaleźć ani jednego wyrazu pociechy.

W dalszej podróży na kolonje wychodźców przewożą do miasteczka Ponta Grossa. Oprócz Polaków jadą i Niemcy, przybyli z Prus.

Podczas pobytu w Kurytybie zwiedzali kolonję z Alfonso Penna i dzielą się swymi spostrzeżeniami; nie są widocznie zachwyceni, bo dolatują mnie wyrazy:

— Pójdziemy do konsula... Muszą nas odwieść z powrotem...

Podróż nie trwa zbyt długo, lecz daje się we znaki, gdyż iskry z lokomotywy wpadają co chwila przez okna wagonów, sprawiając jadącym przyjemną niespodziankę.

W pociągu pełno osadników podmiejskich. Porozumiewają się zepsutą polszczyzną. Ktoś wtrącił zdanie brazylijskie — i dalsza rozmowa prowadzi się już po portugalsku.

Urzędnicy w gospodzie w Ponta Grossa starają się okazać Niemcom wszelkie względy.

— Tu miejsce dla ludzi, — pokazują na porządniejszy kąt w baraku, — a tam dla Polaków.

Nie skutkuje to jednak. Niemcy gorączkowo biorą się do pracy. Rozpakowali swoje manatki, powyciągali broń, ubranie, bieliznę i inne, przywiezione z Europy rzeczy i urządzili bazar na miejscu, ku wielkiej uciesze mieszkańców, uradowanych z okazji taniego nabycia potrzebnych rzeczy.

To też sprzedaż nie trwała długo, i Niemcy jadą „nach Vaterland", odpowiadając na zaczepki Brazyljan.

— My nie Polacy. My nie pozwolimy się ukrzywdzić, bo mamy swego konsula!

— A my nie mamy wracać ani za co, ani po co! — tłomaczy mi smutnie stojący obok wychodźca, — niech tych co nas namówili... — i odchodzi klnąc zcicha.

Posiłek dają tu nad wyraz marny. Kucharz Polak rozmawia z żoną i dzieckiem po portugalsku, choć przyjechali niedawno.

— Tak lepiej. Na co tu nam polska mowa? Każdy się tylko z człowieka naśmieje.

Miasteczko Ponta Grossa dosyć ludne i ruchliwe. Wizytuję szkołę polską. Nauczycielka skarży się na brak środków, na zależność od łaski i niełaski rodziców dzieci. Z rezultatów swej pracy również nie zadowolona.

—Dzieci ze sobą mówią po portugalsku, choć im zabraniam.

Wszyscy emigranci chcą się dostać na kolonję Vera Guarany, bo mają tam krewnych, znajomych. Ale tego szczęścia dostąpiłem ja tylko; pozostałych, mimo protestów, wyprawiono gdzieindziej. Gdzie — nie mogłem się nawet dowiedzić. W drodze bawi mnie rozmową kolonista z Santa Barbara. Jest tu już lat 16. Corocznie pozostawia w domu żonę z dziećmi, a sam wędruje na zarobek.

— Z „szakru" nie wyżyje, — powiada do mnie — wystarczy tylko na jedzenie. Na ubranie, obuwie, okrasę trzeba gdzieć zarobić!

— Czasem to znajdę zarobek i niezły, ale bywa i tak, że naszukam się próżno i wracam z niczym.

Polski jeszcze nie zapomniał:

— Dawniej nie było nocy, w którejbym we śnie nie wędrował do swoich, a i teraz dniem i nocą szedłby piechotą, ażeby choć zabaczyć tę ziemię, gdzie leżą kości ojców.

Na kolonję Vera Guarany przyjechałem wieczorem, zatrzymałem się z jednej z wend, które w Paranie zastępują nieistniejące w mniejszych miasteczkach hotele. W wendzie grupa osadników, obfite libacje „kaszasą"; rozmowa wyłącznie po portugalsku, pomimo, iż wszyscy bez wyjątku Polacy. Sami patrjoci parańscy.

— Tu wolność, bo każden ma nóż za pasem, a pistolet w gorści. Ta „kaszasa" tańsza, niż wódka polska. Szkół nam nie potrzeba, bo czym człowiek dłużej się edukuje, tym głupszy. Rozum europejski nam tu na nic. Co taki człowiek rozumie, co z Polski przyjechał?

Wyszukuję dla siebie siedzibę i zwiedzam kolonję. Wzdłuż wytkniętej drogi, jak grzyby po deszczu, powstają malutkie szałasy — mieszkania osadników. Puszcza aż jęczy od uderzeń siekier polskich. Po drogach pracują osadnicy pod nadzorem brazylijskich *fejtorów*, odrabiając otrzymane produkta spożywcze. Uderza mnie szczególne zjawisko: oto tylko część głównej drogi urządzono wzorowo na pokaz zwiedzającym kolonię dostojnikom, a dalej już zmienia się postać rzeczy:

oto widzimy drogę bez mostów, więc nie do przebycia, gdzieindziej znów mosty bez drogi, nieprzysypane, wykrzywiają się i walą. Tam znów leżące w poprzek olbrzymie klody tamują przejście. I tak już pozostanie, bo wyczerpały się fundusze.

W szczególny sposób dbają tu o rozwój kolonji.

Zewsząd słyszę utyskiwania: w jednym roku osadnicy nie sprzątnęli nic, bo zjawiające się w olbrzymich masach szczury i myszy ścięły wszystko jeszcze na polu, w drugim znowu, czego nie wytłukł grad, zniszczyła posucha.

— A choćby się komu i udało zebrać, to i tak nam nie starczy, bo czy to człowiek dużo może nakopać motyczką? Na porębie leżą duże kłody, dopóki te nie zgniją, orać nie można, a czy my się tego doczekamy? Pełno tu żmij, różnej gadziny. Robactwa tyle, że nic uchować nie można, ani cukru, ani chleba, ani nawet zboża. Komary tu latem tak tną w oczy, że nic zrobić nie dadzą, a „biszki“, (pchły ziemne) pokaleczyły nam nogi i chodzić nie możemy.

Z kolonji coraz wynosi się ktoś, zasobniejszy w grosze, zostają tylko biedacy z pustką w kie[illegible].

— Wszyscy, powracający z Parany, bez wyjątku należą do dwóch kategorji: bogatych gospodarzy, lub próżniaków — powiada p. Siemiradzki w swym dziele „Szlakiem wychodźców“. Bardzo trafne spostrzeżenie. Chciałbym jednak wiedzieć, w jaki sposób może wracać człowiek, nie mający grosza przy duszy, i jakie to cechy charakteryzują próżniaków?

Obrałem sobie siedlisko nad piękną, jak marzenie rzeką Iguassu. W dali od siedzib ludzkich postawiłem domek na wzgórzu z pysznym, rozległym widokiem.

A trudno o to w Paranie: olbrzymie lasy tak zacieśniają tu widnokrąg, że człowiek ma wrażenie, jakby się dostał do studni. Rozpoczęło się życie osadnika — rąbanie lasu, palenie, sadzenie kukurydzy i t. d. Przekonałem się, że życie w puszczy posiada swój urok, któremu oprzeć się trudno.

Wszechpotężna jedynie przyroda może ukoić zbolałą duszę, wrócić pogodę umysłu i uleczyć chore nerwy, tak nielitościwie szarpane przez dzisiejsze stosunki. Tylko jednostka nie posiadająca mocnych zębów i ostrych pazurów, warunków niezbędnych dziś dla egzystencji, może się poczuć bezpieczną od dowodów dobrotliwości i życzliwości bliźnich.

(C. d. n.) *Tadeusz Chrostowski.*

BADANIA NAUKOWE.

Filozofja Henryka Bergsona

V. Intuicja a zdolność estetyczna.

Że intuicja nie jest urojeniem, dostatecznie świadczy o tym istniejąca w człowieku obok zwykłej percepcji odrębna od niej zdolność estetyczna. Zdolność ta jest władzą wybitnie syntetyczną, gdy percepcja działa drogą analizy Oko nasze, np. postrzegając rysy istoty żywej, ujmuje je jako ułożone obok siebie, nie zaś jako wewnętrznie między sobą uorganizowane. Nie podpada władzy jego to, co jest swoistą intencją życia, ruchem obiegającym jego linje, ruchem który spaja te linje w całość pełną właściwego znaczenia. Nie ujmuje tych rzeczy w zwykłej percepcji oko, i nie chwyta ich fotografja. Inaczej artysta. Ten ostatni zdolen będzie przeniknąć właśnie ową tajemną intencję przedmiotu, za pomocą przeniesienia się do jego wnętrza w drodze sympatji, która usuwa wszelkie zapory między odtwórcą a modelem, nie wyłączając tej zapory, jaką stawi przestrzeń.

Powołanie się na sztukę i jej metodę jest dla Bergsona czymś więcej, niż wskazaniem pouczającego przykładu. Dotychczas uczeni i myśliciele zazdrośnie przestrzegali granicy między nauką a sztuką, dowodząc zupełnego przeciwieństwa metod między nimi. Najzjadliwszym zarzutem przeciwko filozofji było przypuszczenie, że jest ona właściwie tylko poezją myślową, że jest fantazją artystów myśli. Bergson, natomiast, w sztuce widzi pewne pierwiastki, które chciałby przenieść do filozofji. Nieustanne jego przenośnie, porównania i przykłady, z dziedziny sztuk pięknych zaczerpnięte, którymi ilustruje on rozmaite zagadnienia metafizyczne, niewątpliwie w tym przeświadczeniu jego znajdują usprawiedliwienie.

Jakież to są pierwiastki?

Przedewszystkim b e z i n t e r e s o w n o ś ć p o s t r z e g a n i a.

Między przyrodą a człowiekiem, — powiada Bergson [1] — a nawet między człowiekiem a własną jego świadomością, rozpościera się zasłona, zasłona gruba dla ogółu ludzkiego, a lekka, niemal przezroczysta — dla poety i artysty. Jakaż czarodziejka zasłonę tę utkała? Rozwiesiła-ż ją ręką wroga, czy przyjaciela? Odpowiedź jda nam samo życie. Człowiek żyć musi, życie zaś nakazuje nam ujmować rzeczy w tym stosunku, w jakim pozostają one względem naszych potrzeb. Żyć to znaczy działać. Żyć to znaczy odbierać od przedmiotów wrażenia te tylko, które są dla nas u ż y t e c z n e, by na nie odpowiadać właściwą reakcją: wrażenia inne toną mroku, lub występują niewyraźnie. Zmysły, miast rzeczywistości, dają nam jej uproszczenie praktyczne. W jej obrazie przez zmysły przedstawionym, różnice nieużyteczne dla człowieka bywają zatarte, natomiast podobieństwa, mogące służyć korzyścią, zostają uwydatniane, już z góry niejako wytykając drogi, po których czynność nasza się potoczy. Bez wątpienia człowiek wyżej już stoi od zwierzęcia w tym względzie. Małe jest prawdopodobieństwo, aby wzrok wilka odróżniał koźlę od jagnięcia: są to, dla wilka, dwie zdobycze jednakowe, równie łatwe do schwytania, równie dobre na rzeź. Człowiek wyraźną spostrzega różnicę między kozą a owcą; ale czy odróżnia kozę od kozy, albo owcę od owcy? Nie, albowiem nie widzi w tym korzyści dla siebie, nie popycha go ku temu potrzeba życiowa. Otóż artyzm polega na wzniesieniu się po nad stanowisko, z którego widać tylko potrzeby życia i tylko środki ich zaspokojenia. Sztuka jest wcieleniem dążenia bezinteresownego. Bezinteresowność owa pozwala jej zarazem chwytać przedmioty w całym bogact-

[1] „Le Rire“: Essai sur la signification du comique Paris. Alcan. P. str. 154 i nast.

wie ich indywidualności. Artysta ma zmysły otwarte dla wszelkich wrażeń rzeczywistości, nie tylko dla wrażeń użytecznych.

I ten zmysł dla indywidualności, która jest niczym innym, jak harmonją wszystkich poszczególnych znamion przedmiotu, harmonją jedyną i nieporównalną z niczym, — stanowi w oczach Bergsona wtóry ważny pierwiastek sztuki.

Lecz bezinteresowność w ujęciu przedmiotów, i zmysł dla ich odrębności, czyż nie są to dwie cechy, które w najwyższym stopniu przysługiwać winny intuicji?

A wobec tego czyż intuicji estetycznej nie mamy prawa uważać za wzór, a raczej zadatek i zaród intuicji filozoficznej?

Prawda, robi uwagę Gillouin.[1] że intuicja artystyczna, jak zresztą i percepcja zewnętrzna, ujmuje tylko przedmioty szczegółowe. Wszelako możliwą jest rzeczą do pojęcia zwrócenie badań w kierunku tym samym, w którym idzie sztuka, przy jednoczesnym obraniu za przedmiot już nie oddzielnych objawów życiowych, ale ogółu życia w jego całokształcie i pełni. Albo to nauki fizyczne, posuwając się w kierunku, przez percepcję zewnętrzną wytkniętym, nie dochodzą poprzez fakty szczegółowe do ogarnięcia praw powszechnych?

Rzecz prosta, że filozofja nigdy osiągnąć nie zdoła poznania swego przedmiotu w takiej pełni i z taką dokładnością, z jaką przedmiot swój poznają nauki, poświęcone badaniom materji. Intuicja w człowieku niemal w całości złożona została w ofierze umysłowi, który zagarnął dla siebie najtęższe siły ducha. Umysł człowieka jest tym mocnym świetlistym jądrem, wokół którego instynkt nawet pogłębiony i wyzwolony w intuicji, tworzy zaledwie łyskającą mgławicę.

Wszelako, nie dając poznania w istotnym tego słowa znaczeniu, intuicja odsłonić nam może to, co w zasobach umysłowości naszej jest niedostatecznego, i w ten sposób wskazać możność uzupełnienia niedoborów. Z jednej strony, istotnie, zużytkuje ona sam mechanizm umysłowy do wykazania, że ramy umysłu nie znajdują w danym miejscu właściwego zastosowania, z drugiej zaś strony, pracą własną i wytężeniem podda nam głuche choćby poczucie tego, co postawić należy tamże, zamiast ram umysłowych. W następstwie, nawiązując łączność współuczuciową między człowiekiem a resztą żyjących, dzięki rozszerzeniu granic naszej świadomości, spróbuje ona wprowadzić nas do wnętrza samego życia, a wówczas wizja, którą posiądziemy, aczkolwiek niezupełna, aczkolwiek ułamkowa, nie będzie przecież względna, zabarwiona czymkolwiek, lub od czegokolwiek zależna: stanie przed nami cząstka absolutu, w całej bezpośredniości.

W. Rzymowski.

[1] „La philosophie de M. Henri Bergson". Paris Grasset. P. str. 45 i nast.

KRYTYKA.

Z Teatru.

O ile ewenementem teatralnym w dodatnim sensie może być w bieżącej dobie kanikuły — to tylko farsa. Takie już stanowisko zajęły wszystkie dyrekcje teatralne przy milczącej zgodzie publiczności. Tworzy się nawet z tego sui generis tradycja. Dlatego też „Judyta" jako rzecz nie krotochwilna musiała być co się zowie „położona", dlatego też świeżo wystawiona w teatrze Nowym przy ulicy Królewskiej farsa w 3-ech aktach Pawła Gavault'a p. t. „Szczęście pod ręką" została wystawiona i grana, w niektórych zwłaszcza rolach, pierwszorzędnie, przy bardzo dobrym wyreżyserowaniu. Skoro jedynie więc ten dział sztuki scenicznej stoi na godnym poziomie, — należy się kontentować tym na co stać nasz teatr i to brać pod uwagę. Nie mogąc traktować in merito tragedji Hebbla, rozpatrzmy walory jego kolegi o kilka pięter niżej, P. Gavault'a.

Utwór tego autora reprezentuje podobno epigonerję wobec Flers'a i Caillavet'a. Czy to jednak tylko epigonerja? Czy, jeżeli wykreślać będziemy kierunki współczesnej krotochwili francuskiej od najwybitniejszych jej promotorów, czy przy kierunku autorów „Króla" i niezależnie przy nich biegnącym farsowym prądzie Tristan'a Bernard'a nie powinno się uznać stylu Muzy p. Pawła Gavault'a za kierunek w natężeniu i rezultatach równy powyższym, trzeci? Posiada bo Gavault i doskonałe pomysły nie ustępujące autorowi „Kawiarenki" unikając szczęśliwiej od niego zbytecznych pauz w tempie akcji, — z drugiej zaś strony potrafi niezgorzej od Flers'a i Caillavet'a zadziergnąć i rozplątać supełek perypetji w intrydze scenicznej, a umiejąc również jak autorzy „Świętego gaju" pogłębić marjonetkowy galimatjas prawdopodobieństwem psychologicznym, uwydatnia równie dobrze satyryczne i humorystyczne jego strony, nawet pewien liryzm, nie wpadając przytym, jak jak to często czyni wymieniona spółka krotochwilurgów, w tanią tężkę sentymentalizmu, w margarynę czułostkowości. Epigonerją więc działalności Gavault'a nazwać nie można, gdyż przerasta on tu i owdzie swych nauczycieli i to nieraz zarysami ostrymi. Pomysły Flers'a i Caillavet'a idą po linji najsłabszego oporu, koncepcje Tristan'a Bernard'a są bardzo ciekawe, lecz apriorystycznie zdecydowane, Paweł Gavault o ile wnioskować można ze „Szczęścia pod ręką" nie unika sytuacji wahających się, idących samym kantem zrębu, więcej, bo tam gdzie moment decyduje się już jakby w pewnym kategorycznym kierunku, nie obawia się sfalować go szarpnięciem wstecz lub wgłąb, przeszyć sentyment sarkazmem, prześwietlić altruistyczny rzut sobkowską pobudką, zalać wnętrzny smuteczek szarzyzną prozy powszechnej. Sam wybór środowiska i atmosfery w jakiej autor kąpie swą krotochwilę już świadczy o żyłce pomysłowej ryzykowności, jaka w nim tkwi, o majsterstwie ekwilibrystyki i o lubowaniu sie w niej. Toż całe założenie sztuki wypływa ze splotu konkubinatów, w który jakby ze złośliwą kurtuazją dla tartuffowskiej p. t. publiczki burżuazyjnej autor powtykał pomarańczowe kwiatki ślubnych zamierzeń; toż cała ta farsa, jak od pewnego czasu mawiają do-

stojni coram populo męże, to jedna „ ruja i porubstwo“. Formalnie tak jest.

Lecz jakże wyzyskał Garault to założenie? Czy owe sześcioletnie konkubinaty treścią swą różnią się wielce od większości małżeństw dzisiejszego bogatego, „rodowego“ mieszczaństwa? Czy owe trójkąty, gdzie jeden kochanek jest jakby mężem a reflektant na drugiego jakby przyjacielem domu, różnią się czem w swej istocie od zwykłych małżeńskich ulegalizowanych tradycją trójkątów?

Nie. I w tem właśnie tryumf autora, że ukazawszy nam ów „strasznie niemoralny“ światek wielkich kokot i utrzymujących je adoratorów, wykazał, że nie różni się on prawie niczem od świata legalnych związków „wielkiego“ mieszczaństwa.

Analogja w tożsamość przechodzi, w jednostajność, aż się chce ziewać i rzec: „znamy, znamy“. Lecz ziewnąć nie można dla doskonałego odtworzenia krotochwili. Naogół poziom przedstawienia sztuki jest tego rodzaju, że gdybyśmy równoległy mu mieli w „wielkim“ repertuarze, to napewno „najzjadliwsze“ krytyki zamieniły by się w hymny pensjonarskiego zachwytu. Tymczasem zaś zachwyt ten nieodzielnie przypada pani Honoracie Leszczyńskiej w roli Zuzanny Barsac, p. Gasińskiemu jako Giraud (tu i tam Edmundowi) i p. Fertnerowi — Pont-Herbert (tu i tam Antoniemu), a i poza tymi koryfeuszami okroi się też sporo reszcie zespołu. P. Leszczyńska dała tak skończoną kreację w wielkim stylu, od pozornie mimowolnych ruchów do psychicznych przeżyć w napomknieniach, w tak przytem niesłychanie subtelnym utrzymała całość tonie, iż nie dłonie składać należy do hałaśliwych oklasków lecz, bez słów głowę skłonić i.. chapeau bas! Przytem wyglądała najpiękniej ze wszystkich swych partnerek. P. Gasiński dał już niezliczone dowody jak pierwszorzędnego artystę nasza lekka scena w nim posiada, w ostatniej krochwili dał jeszcze więcej, bo do dotychczasowych rysów swego talentu dodał nowy artystycznej prawdy w momentach przeżyć głębszych, w chwilach przejściowych zachmurzeń. P. Fertner był po swojemu świetny a nawet lepszy od siebie w scenach z drugiej połowy drugiego aktu. Do poziomu tej trójcy dociągali się pozostali partnerzy: p. Knapczyński bardziej niż zwykle zdecydowany w tonie swej charakterystyki, p. Renard, bardzo młoda, lecz duże postępy w krótkim czasie wykazująca siła, p. Trapszo reżyser sztuki i typ dobitnie zarysowany w epizodzie kamerdynera, p. Mrozińska i p. J. Leszczyński.

Kazimierz Wroczyński.

Wrażenia i refleksy.

Zofja Rygier-Nałkowska: „**Kobiety**“ — powieść.

Zofja Rygier-Nałkowska jest obecnie bezsprzecznie najciekawszą konsystencją wśród naszych kobiet pisarek. Odcina się ona przedewszystkiem cechą niezmiernie rzadką dla psyche kobiecej: intellektualizmem. Zdając sama sobie z tego wyśmienicie sprawę, Rygier — Nałkowska starannie rys ten kultywuje w swej indywidualności, nawet zolbrzymia go kosztem cech innych, a tak jej nieraz dla harmonijnej pełni dzieła koniecznych, więcej, bo doprowadza element inktellektualizmu w utworze do nienaturalnego przerostu, do manjery. W ostatniej swej powieści p. t. „Kobiety“ wśród galeryi typów kobiecych czołowe miejsce bohaterki zajmuje osoba będąca wykładnikiem, reprezentantką niejako samej autorki; typowy intellektualizm bohaterki jest powyższego zdania stwierdzeniem. Rygier-Nałkowska uważa ten typ za stopień wyższy od dzisiejszej kobiety, za prekursorkę „kobiety przyszłości“ i nawet ze zwykłą w tym przypadku konsekwencją płci nadobnej, woli on typ przejściowy od przyszłej „najwyższej normy“, od ideału samego.

„Dumna jestem, — mówi bohaterka o sobie, — nie z tych mocy, co są we mnie — a z tego, że one nie przestały jeszcze walczyć z moją wolą; z doskonałych się niedokładności dumna jestem, z myśli, co wzajemnie sobą gardzą, z instynktów przeciwstawiających się jeszcze niekiedy logice, z atawizmów, których odkrycie i sformułowanie ważniejsze jest i piękniejsze od ich pokonania — z tego przebogatego, oślepiającego dzikiemi barwami, ogłuszającego jękami dysonansów, rozpętanego w biegu [illegible] wania się wiecznego dumna jestem“. Te słowa nie tylko za credo wystarczą, lecz są istotną autocharakterystyką bohaterki. Jakiż jest tedy zasadniczy rys intellektualnej indywidualności kobiecej? Czy istotna chłodna, czujna, konsekwentna w swych przejawach mózgowość? Nie. Bo narówni z powyższymi, nie w czystych jednak linjach rysującymi się przejawami, widnieją w jaźni Janki owe „instynkty“, „atawizmy“, „niedoskonałości“, „dysonanse“ o podłożu uczuciowym. Na czym więc polega mózgowość współczesnej kobiety u Rygier-Nałkowskiej? Oto na zdaniu sobie sprawy z istnienia „instynktów“, na możliwie bezwzględnym skonstatowaniu „stawania się“ uczuciowych mglawic w psyche kobiecej, na orjentowaniu się w pobudkach własnych czynów, na dostrzeganiu i definicji własnych uczuć, jednym słowem *na autoanalizie*, nie tyle mózgowych ile sercowych przejawów, bo „potrzeba trwałej miłości“, pozostaje i nadal „głównym motywem“ konsystencji „kobiety przejściowej“.

— Kochasz Pochronię? — pytał ongi Szczerbic Ewy Pobratyńskiej.

— Kocham.

— Więc czemuś chciała, bym ja do ciebie przyjechał?

— *Nie wiem.*

I to jest właśnie intellektualizmem Rygier-Nałkowskiej, że jej kobiety w takich jak powyższy wypadkach *wiedzą*, poco to lub ono czynią.

Zresztą jak rzekłem, autoanaliza autorki „Kobiet“ z nadmiernym stosowana zapamiętaniem przechodzi w pewne przerosty, wywołuje dysharmonję w utworze, w rezultacie z jednej strony wytwarza atmosferę pewnej oschłości, co nie wychodzi na dobre artystycznym walorom powieści, — z drugiej zbyt uporczywe zbliska wpatrywanie się w siebie, powoduje błędy perspektywiczne, stawia wiecznie siebie jako objekt jedyny, zasłania horyzonty dalsze, egoizm przetwarza w samouwielbienie. Autorka sama zdaje sobie z tego sprawę: „analiza to taka obosieczna broń... prześlizgnąć się po tym wszystkim lekkim, przymrużonym wzrokiem — odrazu wyda się inne“ — sama to omal sobie mówi i.. nie jest w stanie pójść za własną radą. A szkoda, bo samouwielbienie paczy i mąci bezpośrednie odbicie postaci Janki w zwierciadle koncepcji własnej autorki. „Jestem wszechświat“, (czy nie zawiele odrazu?) potrafi rzec o sobie bohaterka, albo li: „doprawdy — czasami mam wprost uszanowanie dla Boga, że umiał wymyśleć tyle i tak nieskończenie skomplikowanych rzeczy“. Jest to istotnie szczyt kurtuazji kobiecego intellektu względem.. Boga. Drugą cechą przerostu mózgowości w „Kobietach“ jest oschłość atmosfery, jest unikanie bezpośredniej ekspresji uczucia, jest wyzbywanie się lirycznego wdzięku. A jednak tam, gdzie on, jak pierwiosnek przez śnieg, parły przemożną [illegible]

czość wyżynie, — tam tworzy tak przepiękne stronice jak np., opis koncertu, gdy: „wysoki, młody pan strząsał z przecudnych swych palców ciężkie, splątane krople dźwięków, które sypały się nieskończenie, wciąż nowe i wciąż piękniejsze, czasami delikatne i okrągłe, jak perły, czasami ostre, połamane, kanciaste, jak kamienie... szły grzmoty, padał grad, ktoś strasznie cicho żalić się począł, potym tryumfalnie w dzwony uderzył wschód słońca... a smukły pan — powoli i sennie opuszczał na miękkie aksamitne klawisze białe kiście swych wiotkich rąk, by jednym, niedostrzegalnym ruchem hojności królewskiej sypnąć cały grad pereł z nieprzebranego swego skarbca“. Pod koniec powieści im silniej rozżagwia się ból, tym piękniejszą łuną zaróżawia intellektualną białość utworu, tym pełniej tętnieć poczyna twórcze życie powieści. Szkoda zaiste, że brak miejsca nie pozwala mi zwrócić uwagę na inne strony „Kobiet“ Zofji Rygier-Nałkowskiej i na dokładniejszy rozbiór, jakiegoby zasługiwał ów starannie komponowany i z wielką kulturą literacką skonstruowany ostatni utwór młodej autorki. Z całości jego tchnie chłodny, lecz rzeźki wiew szerszych widnokręgów myśli, widnieje świadoma swych celów i pewna [illegible]

* *

Feliks Lubierzyński „Iluzje“ — komedja w trzech aktach

Najwłaściwszem sprawozdaniem z utworu dramatycznego jest recenzja teatralna, wtedy bo bezpośrednio zdać sobie można sprawę z istoty danej rzeczy, jego życia, — wydanie zaś książkowe wobec właściwego dzieła stoi w takim samym stosunku, jak partycja naprz. symfonji do wykonania jej przez orkiestrę. Ale nie wszystkie utwory mogą przemówić do nas z za rampy, chociażby z tego powodu że w krótkim czasie zabrakłoby na kuli ziemskiej teatrów do odegrania wszystkich napisanych dramatów i komedji.

Jest i powód drugi: po za utworami scenicznemi wydawanymi w druku są i t. z. dramaty książkowe, mające formę zewnętrznie tożsamą co i powyższe, lecz albo w zamyśle artysty nieprzeznaczone na scenę, albo nie mające same z siebie po temu danych. Komedja p. Lubierzyńskiego nie należy do kategorji ostatniej i aczkolwiek nie jest to jeszcze utwór posiadający wszystkie cechy pełnego dzieła teatralnego, ma w sobie zawiązki sceniczności. Komedja ta graną była zresztą w kwietniu w teatrze poznańskim. P. Lubierzyński wpisuje się do najmłodszej generacji dramatycznych autorów, pisze od niedawna, „Iluzje“ są bodaj drugim utworem publikowanym; pierwszy, dramat p. t. „Dzwonnik“ wydany przed czterema laty, jest konglomeratem, gdzie echa naśladownictw Przybyszewskiego, Hauptmana i Wyspiańskiego zupełnie zagłuszały głos autora. „Iluzje“ są utworem już bardziej samodzielnym. Jestto komedja w której pierwiastek realistyczny przepojony jest atmosferą fantastyczności, a naturalizm faktury przemieszany ze stylizacją. Autor uczynił to jeszcze niewprawnie, czuć że nie mógł opanować w dostatecznej mierze własnych zamysłów, dlatego też powyższe składniki nie tworzą stopu przejrzystego, lecz mętny. Stosunkowo najczystszy ton wydobywa się z aktu drugiego pod koniec tegoż. Nie wątpię, że po ujrzeniu utworu na scenie daloby się rzec więcej o „Iluzjach“, czy jednak utwór posiada tyle dramatycznych sił własnych, by mógł zgoła zwycięzko wytrzymać próbę sceniczną, — przesądzać trudno. W każdym razie zasadniczy rys pisarski p. Lubierzyńskiego: mierzenie sił na zamiary cechuje indywidualność młodego autora dodatnio.

Otto.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** W jednym z ostatnich numerów *Zarania*, Tomasz Nocznicki porusza znowu sprawę pomocy lekarskiej na wsi, szeroko i żywo omawianą na ostatnim zjeździe Kółek Staszycowskich. Każdy kto zna wieś, wie w jakim opłakanym stanie znajduje się ta sprawa. Nocznicki podnosi na nowo rzuconą już dawniej na szpaltach *Zarania* myśl zakładania szpitali po gminach. Opłaty za gminiaków leczących się w szpitalach stołecznych dochodzą nieraz tak poważnych sum, że wedle obliczenia autora możnaby za te pieniądze utrzymać, choćby po trzy gminy razem — wspólny szpital wraz z przytułkiem dla nieuleczalnych. Przy takim szpitalu oprócz doktora musiałaby być i felczerka, któraby była zarazem i akuszerką, gdyż brak pomocy dla rodzących jest plagą wsi i powoduje wprost straszną śmiertelność wśród młodych matek. Sprawa jest ważna i zasługująca by się nią zainteresować. Powinni by w niej głos zabrać na szpaltach *Zarania* lekarze i fachową radą inicjatywę wychodzącą z kół chłopskich poprzeć. O ile byłoby możliwem tworzenie takich małych szpitali gminnych, z góry przewidzieć można, że chłopi chętniej korzystaliby z nich niż z miejskich, do których najczęściej zwracają się dopiero wtedy, gdy już chory skutkiem zaniedbania lub leczenia przez znachorów zabrnął w stan beznadziejny lub stał się nieuleczalnym kaleką. Bliska, szybka i tania pomoc lekarska mogłaby i śmiertelność zmniejszyć i cherlactwu lub kalectwu niejednokrotnie zapobiedz. Zdaje się jednak, że T. Nocznicki, grzeszy nadmiernym optymizmem, gdy oblicza, że za 3—4 tysiące rubli rocznie możnaby utrzymać lekarza, akuszerkę, 10 łóżek dla chorych i 10 dla nieuleczalnych.

Możeby jednak gminy zdecydowały się podwyższyć budżet szpitali, gdyby do opłacanych przez siebie sum za leczenie gminiaków w szpitalach stołecznych lub gubernialnych dodały jeszcze koszta pogrzebów, które bezwarunkowo mogłyby się stać rzadsze, gdyby każdemu choremu i każdej położnicy w porę zapewniono umiejętną pomoc i opiekę.

> Lud leczy się u znachorów i felczerów, bez kontroli lekarzy. Gminy płacą tysiące rubli za leczenie wychodźców z gminy, chorzy na choroby umysłowe włóczą się po wsiach i stają się celem pośmiewiska zdziczałych dzieciaków, lub też bywają przykuwani na łańcuch do ściany w komórce, jak się to zdarzyło w Wilkowle. Trzeba o tym pisać, mówić, nawet krzyczeć, aż się wywoła czyn w postaci szpitali i przytułków bodajby na parę gmin jednego. Temu trzeba zaradzić.

To energiczne, rozpaczliwe prawie wołanie powinnoby zostać powtórzone na szpaltach wszystkich pism—gdyż istotnie—„temu trzeba zaradzić“.

*** Omawiając niedawne artykuły *Gazety Warszawskiej* i *Przeglądu Narodowego*, o zacofaniu polityki nowoczesnej polskiej, oraz polskim do polityki nieprzygotowaniu, charakteryzuje *Myśl Niepodległa* typ bakałarzy narodowo-demokratycznych, których uważa za najjaskrawszą ekspozyturę naszych błędów politycznych wogóle. „Demokracja narodowa w ciągu swego okresu politycz-

nego ujawniła metody polityczne, których nigdy dość się nie potępi". Zasadniczym postulatem narodowej demokracji zawsze była nie logika, lecz siła. Obecnie, partja będąca w rozsypce o sile swej mówić nie może. To też w tej chwili wychodzą na jaw wszystkie jej zatargi z logiką:

> Z parafjańską zaciekłością prasa demokratyczno-narodowa atakowała po zwycięztwie wszystkie inne grupy, starając się je wyobcować z narodu. W pierwszej fazie działalności politycznej posłów i narodu są zawsze na porządku dziennym interpelacje. Otóż dla wszystkich grup, które w czasie wyborów przegrały, droga interpelacji została rogatką narodowo-demokratyczną zamknięta. A jednak nie przypominamy sobie faktu, by któraś z tych grup, przez demokrację narodową odcięta od życia publicznego, zwróciła się o pomoc do lewicy rosyjskiej i przez nią wniosła była interpelację. To też śmiało powiedzieć możemy, że demokracja narodowa stanęła tylko na stanowisku partyjnym a nie narodowym. Potym, gdy naród począł patrzeć krytyczniej na politykę demokracji narodowej, wybrani przez narodowców posłowie zaczęli występować z partji i pozostali reprezentantami wyborców anonimowych. Demokracja narodowa już nawet nie śmiała upomnieć się o tę jawną dezercję i niesubordynację.

W Dumie nacjonaliści rosyjscy zwyciężyli demokratów narodowych ich własną metodą, to jest siłą:

> To też posłów ogarnęła struchlałość, odwrotna strona medalu arogancji. Zamknięcie Macierzy powitano zalęklym milczeniem.
>
> A gdy minął nieco strach i gdy narodowa demokracja zorjentowała się trochę w swej bezsilności na gruncie petersburskim, jedni... uciekli, składając mandaty pod pozorem choroby, drudzy pozostali, ale już tylko z metodą pokornego i wszelkiej godności pozbawionego żebractwa, wedle zasady „pukajcie a będzie wam otworzono". Gdy przechodził zasadniczo jakiś projekt, żebrano o usunięcie paragrafu; gdy przechodził paragraf, żebrano o modyfikację jego redakcji.
>
> Wreszcie nastąpił w partji popłoch i gromadna dezercja. Nikt nie wierzył w możliwości reformy „panującego" stronnictwa, jak w nic nie wierząc, kupą się przedtym do niego garnął. Dezercja ta wywierała nawet na przeciwnikach wrażenie przygniatające. Gdy inne stronnictwa ginęły w walce z partjami przeciwnymi, demokracja narodowa rozpadła się sama w sobie, wskutek braku jakichkolwiek opór wewnętrznych.

Nie naród, lecz partja demokratyczno narodowa wykazała zupełny brak zdolności politycznych. „Z emfazą mówili narodowi demokraci w stronę postępowców, iż będą traktowali ich poprostu jak „podkomendnych", a tymczasem nie umieli utrzymać komendy nad własnymi szeregami, które opuściły ich w bezprzykładnym popłochu".

KRONIKA.

MUZEUM W RAPPERSWILU. Zjawiło się wreszcie w druku „Sprawozdanie zarządu Muzeum z czynności w r. 1911". Dział pierwszy sprawozdania wykazuje, że w roku ubiegłym zmniejszyła się liczba ofiarodawców, natomiast zwiększyła się liczba przedmiotów ofiarowanych. Lwia część wpływów przypada na bibljotekę, dział muzealny obdarowano słabiej jeszcze niż w r. 1910.

Szkoła polska w Paryżu ofiarowała Muzeum Rapperswilskiemu przeszło 4,000 dokumentów oraz aktów komisji rozdawnictwa pomocy z r. 1871 i utworzonego w 1864 r. w Paryżu komitetu katolickiego, mającego na celu wspieranie emigrujących do Francji uczestników powstania. D-r Karol Lewakowski ofiarował autografy czterech ostatnich królów polskich. Ogółem nabytki roku sprawozdawczego obejmują 6,722 przedmioty. Przypada z tego na przedmioty pamiątkowe 7, numizmaty 5, miniatury 7, ryciny 5, fotografje 410, druki 2049, rękopisy 4218, rozmaitości 23.

Kapitał żelazny Muzeum wynosi 33,791 franków. Przychody wyniosły 13,428 fr., w tym 6,189 fr. z opłat za zwiedzenie muzeum. Wydatki wyniosły 16,826 fr. (administracja 10,221, koszta zamku 1599, koszta zbiorów 374, różne — 4,427 fr.). Zatym niedobór wynosi 3,397 fr.

Muzeum zwiedziło 8,215 osób, w tym Polaków 1,713. Zastęp pracujących w bibljotece muzeum zwiększył się, na zewnątrz wypożyczono druków 7,495.

Sprawozdanie zawiera także przebieg znanych obrad w roku ubiegłym.

RUCH NAUKOWY. W Krakowie ogłoszono konkurs na pracę historyczną o powstaniu r. 1863. Ma to być dzieło popularno-naukowe, wysnute z całego zasobu ogłoszonych już drukiem dokumentów, pamiętników, oraz uwzględniające dostępne materjały rękopiśmienne. Praca konkursowa powinna podać przebieg powstania od pierwszych wypadków przygotowawczych, aż po ostatnie chwile walki, zgodnie z prawdą historyczną. W skład sądu konkursowego wchodzą: prof. dr. Szymon Aszkenazy, dr. Bronisław Dembiński, dr. Tadeusz Dwernicki, rektor dr. Ludwik Finkel, Franciszek Rawita Gawroński, dr. Ludwik Kubala, dr Witold Lewicki i dr. Bronisław Pawłowski.

SPRAWY NIEMOJEWSKIEGO. Dnia 5 b. m. III departament karny warszawskiej izby sądowej rozpoznał dwie sprawy, wytoczone przeciwko Andrzejowi Niemojewskiemu, redaktorowi *Myśli Niepodległej*.

W pierwszej sprawie prokurator domagał się uchylenia wyroku sądu okręgowego, który uniewinnił Niemojewskiego od zarzutu bluźnierstwa przeciwko dogmatom chrystjanizmu w książce „Bóg Jezus".

Po dwugodzinnych rozprawach izba odrzuciła protest prokuratora i zatwierdziła wyrok uniewinniający pierwszej instancji.

Druga sprawa dotyczyła artykułów Niemojewskiego, wydrukowanych w *Myśli Niepodległej* w 1909 roku; w artykułach tych Niemojewski, analizując działalność zmarłego redaktora *Roli*, Jana Jeleńskiego, nie szczędził pod adresem zmarłego wymysłów, między innymi zaś zeznaczył, że zmarły redaktor *Roli* „wiedział o tym, że w ciągu najcięższych okresów, jakie przeżywała Warszawa, artykuły jego niejednokrotnie były denuncjacjami".

W tej sprawie sąd okręgowy skazał Niemojewskiego na dwa miesiące więzienia.

Obecnie izba sądowa wyrok ten uchyliła w ten sposób, że uznając Niemojewskiego za winnego jedynie wymysłów w druku, skazała go na miesiąc aresztu na odwachu. Od zarzutu oszczerstwa Niemojewski został zwolniony.

Odpowiedzi od Redakcji.

Panu C. K. i innym. Nr. 29, poświęcony krytyce „Urody życia" został wyczerpany.

Errata. W n-rze 30-ym w artykule: „Filozofja Henryka Bergsona" mylnie wydrukowano na str. 9, wiersz 10 od dołu: „jasnowidztwa obu równoległych przejawów ślepoty". Powinno być: „jasnowidztwa obok równoległych przejawów ślepoty".

Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Menger: Prawo do całkowitego wytworu pracy CENA k. 75

Karol Gide: Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia rb. 2

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartał. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do domu.

[illegible] zagranicy: [illegible] rb. 2 kop. 50 [illegible]

Za zmianę adresu dopłaca się [illegible]

Redaktor przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt [illegible]

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośred- [illegible]

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 1 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w War- [illegible]

[illegible]

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Inteligencja chłopska. — Protest. — ODCINEK: Zmierzch, przez Leona Choromańskiego. — Przegląd polityczny, — Przyjaciele ludzkości, przez L. Brunna — Moda, przez Józefa Langego. — Z pobytu mojego w Paranie, przez Tadeusza Chrostowskiego. — BADANIA NAUKOWE: Filozofja Henryka Bergsona, przez W. Rzymowskiego. — KRYTYKA: Z teatru, przez Kazimierza Wroczyńskiego. — Wrażenia i refleksy, przez Otto. — Z PRASY: Z prasy polskiej. — KRONIKA. — Odpowiedzi od Redakcji. — Errata. — Ogłoszenia.

Za redaktora: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, Ś-to Krzyska 11.